



Spis treści

W zakrystii – ks. Proboszcz o duszpasterskich problemach i niepokojach na zakończenie roku liturgicznego	1
Oczekiwanie – felieton Agaty Tomaszewskiej-Antoniewicz	2
Słowo Boże	3
Pan Bóg „wstrząsnął” mną... – z ks. Pawłem Rogalskim rozmawiali Igor Połowicz i jego Klub Dyskusyjny	4
Jesienne myśli – refleksje Lidii Kulczyńskiej-Pilich po wizycie na Kresach	8
Impresje rodzinne – Mirosława Stasiak opowiada o podróży śladami swoich przodków	10
The Secret Millionaire – różne oblicza oczekiwania – korespondencja od s. Grażyny Rocławskiej z Australii	14
Spełnione zadanie – korespondencja od Joanny Hozer z USA	14
Kalendarium parafialne	15
Festa dei Pugnaloni – korespondencja od Stefanii i Renzo Tarchi z Włoch	16
Módlmy się – ks. Łukasz Gołębiowski o dziesiątym przykazaniu dekalogu	18
Wspomnienia z Białorusi – fot. A. Perdziński, G. Porębska-Rodak	19
1 listopada – Uroczystość Wszystkich Świętych – fot. M. Lis, K. Nowosielska	20–21
Ja z tobą, ty ze mną – Lech Skupiński o Świącie Niepodległości i śpiewniku z tej okazji wydanym, fot. K. Nowosielska	22–23
Oto „Chłopcy z tamtych lat”... – Małgorzata Bońkowska-Szaraniec wspomina swojego dziadka	24
Na co wejdiesz Zacheuszu? – felieton Wojciecha Irmińskiego	27
Jesienny spacer w przeszłość – Leszek Kołodziejczyk o spóźnionym Świącie Mieszkańców Komorowa	28
Klony i kasztany – Marta Lewin o komorowskich drzewach	29
W ogrodzie wspomnień (12) – kolejna opowieść Aldony Kraus	31
Zapowiadana rozmowa – z nowym organistą Grzegorzem Sobolewskim rozmawiają uczniowie z gimnazjum	32
Zima tuż, tuż... – Agata Tomaszewska-Antoniewicz w cyklu „Gawęda młodej matki”	33
O strusiej córce – afrykańska opowieść s. Karoliny z Kenii dla komorowskich dzieci	34
Sami o sobie – wolny głos młodzieży Komorowa	35
Okladka s. I – Smuga cienia, Jerzy Cichecki, 2009, akryl na kartonie, 40x30 cm	
Okladka s. II – Wizytacja kanoniczna – fot. K. Rodak	
Okladka s. III – Integracja u Sióstr Służebniczek – fot. B. Izdebska-Zybała	
Okladka s. IV – Wiersz Aleksandra Filimona, fot. B. Duczmal	



„Przyjść, przybyć”,
czy tylko tyle znaczy
słowo – advent?

W zakrystii

Początek roku liturgicznego, jak wiemy, o ponad miesiąc wyprzedza otwarcie „świeckiego” roku kalendarzowego. Dlatego oba te początki różnią się między sobą. Jak wiadomo, każdy nowy rok modlitwy otwiera przypomnienie wydarzeń sprzed 2 tysięcy lat, przynaglać nas do pamiętania, że Bóg jeszcze raz przyjdzie na ziemię. Advent zatem, nie tylko jest czasem „nowego otwarcia” i rozliczenia, ale przede wszystkim czasem oczekiwania na „przyjście” Kogoś Wielkiego, kto może zjawić się właśnie dzisiaj, jutro, może za miesiąc, jeszcze tego roku...

O prymacie adwentu w kontekście owej gotowości na nadejście KONCA CZASU mówiłem wiele razy, mówiłem także i o tym, że wiąże się on z ostatecznym sprawiedliwym, nieuchronnym osądzeniem każdego naszego czynu.

Tegoroczny koniec roku liturgicznego, przypada w ROKU KAPŁAŃSKIM. Czy dlatego nas, przewodników wspólnot Kościoła, skłania on do szczególnego rachunku sumienia? Do zdania przed Bogiem i sobą sprawy z własnej posługi? Cóż, nie odkryję żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że kapłaństwo, jak każdą ludzką działalność, oplata wieniec radości i cienie niepokoju...

To, że nasza parafia rozwija się, wyrażają choćby oceny z wizytacji kanonicznej. Nie mówię tego, by popaść w samozadowolenie. Pozytywne oceny przyjmuję jako zachętę do wytężonej pracy, do tego, by czynić więcej i lepiej, aby wspólnota wchodziła w mocne i trwałe relacje z Bogiem.

Tymczasem... tymczasem muszę przyznać, że laicyzacja coraz natarczywiej puka także do naszych drzwi. Dotyka naszych, niegdyś bardziej rozmodlonych, serc. Zjawisko narasta, co dostrzegam już nie tylko w czasie dorocznych wizytacji duszpasterskich, ale także w codziennych rozmowach z wiernymi.

Niestety, Boga i Jego Kościół wielu z parafian sprowadza do odbierania posług sakramentalnych, a w codziennych praktykach obojętnieją, minimalizują swoje życie duchowe. Codzienne spostrzeżenia potwierdzają doroczne liczenia wiernych uczęszczających



MAGAZYN
PARAFIALNY

ISSN 1505-9839,
Numer 6 (91), 29 listopada 2009 r.
Wydawca: Parafia Narodzenia NMP
w Komorowie;

05-806 Komorów, ul. 3-go Maja 9, tel. 0 22 758-06-15

Mail: redakcja@magazynparafialny.org www.magazynparafialny.org

Kolegium Magazynu Parafialnego: ks. Paweł Rogalski – asystent kościelny,
Wojciech Irmiński, Gabriela Porębska-Rodak, Lucyna Terlecka, Katarzyna Nowosielska,
Marta Lewin, Maciej Lis, S.M. Joanna Wiśniewska (dział młodzieżowy)

Skład komputerowy: BGD Studio SC., ul. Wilcza 51/32, Warszawa, tel. 0 22 622-53-79

Druk: OJA, ul. Sporna 2 F, Warszawa, tel. 0 22 643-77-63

Copyright © Zdjęcia i teksty stanowią własność MP oraz autorów, są chronione prawem.

do kościoła i przystępujących do komunii świętej.

O ile pierwszy wskaźnik jest stabilny, co zważywszy na liczebny wzrost parafii, wcale nie jest powodem do radości, o tyle drugi – przystępujących do Stołu Pańskiego – napawa mnie niepokojem. Jeszcze parę lat temu z 2 tysięcy wiernych bywających co niedzielę w kościele, 800, 900 i więcej, przystępowało do komunii świętej. W tym roku liczba ta spadła do pół setki.

Zespół Szkół Ogólnokształcących w Komorowie jest jednym z większych w okolicy. Pobiera w nim naukę ponad 1000 dzieci i młodzieży... Ile z nich widzimy w kościele?

Czy może cieszyć masowy odpływ młodych z Kościoła z chwilą otrzymania sakramentu bierzmowania? Kiedy i czy w ogóle wrócą na łono Kościoła?

Te fakty ranią moją duszę. Budzą niepokój. Nakłaniają do myślenia – co robić?

Ludzie mówią, że nowe czasy wymagają nowych środków komunikacji. Ale ja jestem księdzem „starej daty”. Wiem, że człowiek potrzebuje miłości, a ona jest niezmienna. Miłość jest miłością, a człowiek, niezależnie w jakich żyje czasach, potrzebuje jej tyle samo. Tę niezmienną, wielką miłość, możemy otrzymać tylko od Boga. Ona przychodzi ku nam przez ręce drugiego człowieka. Jak ludziom mówić, że miłosierne serce kształtuje Bóg w swoim Kościele? Jak mówić, żeby owa prawda do nich dotarła?

Jakim pasterzem jestem? Pytam siebie patrząc na te doroczne „parafialne liczenia”. Czego brak nam w parafii? Pracy dobrych grup młodzieżowych? Jeżeli tak, jak przyciągnąć do tej roboty szczególnie młodzież licealną i akademicką? Co zrobić z trudnościami, z jakimi boryka się *Magazyn* – wielkie parafialne dobro, moja duma i „oczko w głowie”?

Te oto „czarne” myśli przychodzą ku mnie. Te myśli powierzam Bogu w ten czas adwentu, ja pasterz i przewodnik wspólnoty, od którego tak naprawdę niewiele zależy...

Boże, proszę, miej nas w swej opiece.

ks. kan. Andrzej Perdziński
Proboszcz

Oczekiwanie



Caspar David Friedrich (1774–1840)
Kobieta przy oknie. 1822 r.
Olej na płótnie. 44 x 37 cm.
Galeria Narodowa, Berlin.

Oczekiwanie jest wpisane w życie człowieka. Najpierw rodzice oczekują przyjścia dziecka na świat, potem kolejnych etapów jego rozwoju. Niemal zawsze na coś czekamy: na spotkanie z bliską osobą, na kolejny dzień, na rozwój sytuacji. Pierwsi chrześcijanie i pierwsi apostołowie trwali w modlitwie i potrafili czekać na spotkanie z Jezusem, chociaż wielokrotnie przypadał im przez to w udziale straszliwy los. Dzisiejszy świat zatracił powoli niektóre, jakże ludzkie, umiejętności. Ludzie spieszą się, pędzą, nie mają czasu, by przystanąć. Nie umieją czekać. To między innymi dlatego Kościół wyznacza specjalny czas przed radośnym wydarzeniem, jakim są Święta Bożego Narodzenia – czas adwentu. Słowo adwent, pochodzące z łaciny, oznaczało dla starożytnych Rzymian oficjalne przybycie cesarza. Chrześcijańskie adwentowe oczekiwanie ma kilka znaczeń.

Odwołuje się do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Jest wspomnieniem oczekiwania na pierwsze przyjście Chrystusa. Po wrotem – w myśli i modlitwie – do tych wszystkich, którzy czekali przez wieki na przyjście obiecanego im Me-

szasza. Mesjasza, którego zapowiadał Jan Chrzciciel obiecując nadejście Oblubieńca zrodzonego z niewiasty – Maryi będącej wzorem dla wszystkich, którzy powinni jak Ona powtarzać «niech się stanie wola Twoja».

W okresie adwentu myśli ludzkie podążają ku Bożemu Narodzeniu – Bóg stał się człowiekiem, wyszedł do ludzi. I my wyjdźmy do niego. Jak przed ponad dwoma tysiącami lat, oddajmy hołd Dziecinie. Świadczy my uczynkami, otworzymy serca dla innych: pomóżmy bliskim, zaproponujmy rozmowę, spotkanie, swój czas. Zwykły ludzki gest – a jak wielkie ma znaczenie.

Wybiegając myślami w przyszłość człowiek pamięta o tym, że Jezus «przyjdzie sądzić żywych i umarłych». I to o oczekiwanie powinno być źródłem radości. Powinno je wypełniać życie według zasad samego Chrystusa, przygotowanie się na sąd, na zbawienie, które może nam dać jedynie Bóg. Tylko czekający na coś człowiek jest szczęśliwy.

Dlatego adwent to czas wyjątkowy dla wszystkich wierzących w Chrystusa.

Agata Tomaszewska-
Antoniewicz





Słowo Boże

29 XI I Niedziela Adwentu	Jr 33,14-16 Ps 25 Tes 3,12-4,2 Łk 21,25-28,34-36	<i>Uważajcie na siebie, aby wasze serca nie były ociążane wskutek obżarstwa, pijactwa i trosk doczesnych, żeby ten dzień nie przypadł na was znienacka jak potrzask. Przyjdzie on bowiem na wszystkich, którzy mieszkają na całej ziemi.</i>
6 XII II Niedziela Adwentu	Ba 5,1-9 Ps 126 Flp 1,4-6,8-11 Łk 3,1-6	<i>„Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, prostujcie ścieżki dla Niego; każda dolina niech będzie wypełniona, każda góra i pagórek zrównane, drogi kręte niech staną się prostymi, a wyboiste drogami gładkimi. I wszyscy ludzie ujrzą zbawienie Boże”.</i>
13 XII III Niedziela Adwentu	So 3,14-18 a Ps: Iz 12,2-3,4, 5-6 Flp 4,4-7 Łk 3,10-18	<i>Pan jest blisko! O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganu z dziękczynieniem.</i>
20 XII IV Niedziela Adwentu	Mi 5,1-4 Ps 80 Hbr 10,5-10 Łk 1,39-45	<i>Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty nappełnił Elżbietę. Wydała ona okrzyk i powiedziała: „Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona”.</i>
25 XII Boże Narodzenie Pasterka	Iz 9,1-3,5-6 Ps 96 Tt 2,11-14 Łk 2,1-14	<i>Albowiem Dziecię nam się narodziło, Syn został nam dany, na Jego barkach spoczęła władza. Nazwano Go imieniem: Przedziwny Doradca, Bóg Mocny, Odwieczny Ojciec, Księżę Pokoju.</i>
Msza w dzień	Iz 52,7-10 Ps 98 Hbr 1,1-6 J 1,1-18	<i>Podczas gdy Prawo zostało nadane przez Mojżesza, łaska i prawda przyszły przez Jezusa Chrystusa. Boga nikt nigdy nie widział. Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, o Nim pouczył.</i>
26 XII Boże Narodzenie Święto św. Szczepana Męczennika	2dz 6,8-10:7,54-60 Ps 31 Mt 10,17-22	<i>Kiedy was wydadzą, nie martwcie się o to, jak ani co macie mówić. W owej bowiem godzinie będzie wam poddane, co macie mówić.</i>
27 XII Święto Św. Rodziny	Syr 3,2-6,12-14 Ps 128 Kol 3,12-21 Łk 2,41-52	<i>Kto czci ojca, zyskuje odpuszczenie grzechów, a kto szanuje matkę, jakby skarby gromadził. Kto czci ojca, radość mieć będzie z dzieci, a w czasie modlitwy swej będzie wysłuchany.</i>



Z księdzem Pawłem Rogalskim rozmowę prowadzi Igor Połowicz i jego Klub Dyskusyjny

Pan Bóg „wstrząsnął” mną w pewnym momencie życia

Igor: Pierwszą część naszego spotkania z Księdzem, chciałem poświęcić na to, by dowiedzieć się, co działo się z Księdzem przed przyjściem do Komorowa. To może od początku: gdzie się Ksiądz urodził?

Ks. Paweł: W Warszawie, w szpitalu przy ul. Karowej około 25 lat temu.

Igor: A mniej, czy więcej?

Ks. Paweł: Więcej, więcej. Zresztą co ciekawe, po 20 latach wróciłem w okolice tego szpitala, ponieważ ponad nim, na skarpie warszawskiej, znajduje się seminarium duchowne. Sześć lat uczyłem się w pobliżu miejsca, gdzie się urodziłem.

Igor: W jakim dorastał ksiądz środowisku?

Ks. Paweł: W robotniczym. Wychowałem się na okęckich blokowiskach. No i jak to na blokowisku, niby wszyscy byli ochrzczeni, ale z chodzeniem do kościoła za wesoło nie było.

Igor: A gdzie się Ksiądz uczył?

Ks. Paweł: Szkołę podstawową i szkołę średnią ukończyłem na Okęcu, w rejonowej podstawówce, a potem w liceum ogólnokształcącym im. Bohaterów Narwiku. To był zespół dwóch szkół, naszego liceum oraz technikum lotniczego – dodajmy – jedynego takiego technikum w całej Warszawie. Szkoła była ciekawa, np. lekcje j. polskiego miałem w sali, gdzie stoły ze sprzętem elektronicznym były używane przy obsłudze samolotów, a jeśli matematyka nas nudziła, to zawsze można było popatrzeć na płytę lotniska i podziwiać samoloty, które tam lądowały.

Magda: A miał Ksiądz jakieś ulubione przedmioty?

Ks. Paweł: Chociaż nie byłem z nich mocny, to zawsze lubiłem fizykę i chemię. Na polskim raczej dokuczałem nauczycielom, udowadniając że Słowacki wielkim poetą wcale nie był, jak to przedstawiał Gombrowicz w *Ferdydurke*. Lubiłem również geografę, biologię i wf. Pan redaktor pytał, jaki byłem. Mógłby pan redaktor doprecyzować?

Igor: Czy był Ksiądz buntowniczy, uparty?

Ks. Paweł: Buntowniczy raczej nie, natomiast jeżeli mi się coś w szkole nie podobało, to otwarcie o tym mówiłem albo w klasie, albo nauczycielom. Kończyło się to z różnym skutkiem. Czasami moja mama na zebraniu musiała wysłuchiwać, że jestem kontestator. Zawsze starałem się bronić moich kolegów, bo tak naprawdę byłem najspokojniejszy z całej grupy, a jednocześnie najbardziej „wyszczekany”.

Karolina: A dostawał Ksiądz jakieś uwagi?

Ks. Paweł: Masę! Najzabawniejszą otrzymałem w 3 klasie podstawówki, kiedy dostałem uwagę razem z moimi kolegami, za granie w piłkę nożną lodem przy Grobie Nieznanej. Była to najśmieszniejsza uwaga i ostatnia, którą się przejąłem, ponieważ kiedy ją przyniosłem do podpisania rodzicom, mój tata stwierdził, że tak śmiesznej uwagi, jeszcze nie podpisywał i powiedział: „Syneczku ty się tak nie przejmuj tymi uwagami, dobrze?”. Warto dodać, że uwagę dostaliśmy dzień po wycieczce w wyniku donosu koleżanki klasowej. Zresztą, reakcja mojego taty może wiele osób zdziwić, bo jak tak można przy dziecku podważać autorytet szkoły. Tymczasem, po pierwsze sprawa była błaha, bo przy tamtym mrozie trzeba jakoś się było rozgrzać; po drugie ojciec zawsze uczył mnie, że najgorszym frajerstwem jest sprzedawać kolegów i koleżanki. Kabel to najgorszy typ człowieka, więc jeśli obrywa się przez niego, to nie ma się co tym przejmować. Zresztą później w czasie seminarium wielokrotnie przechodziłem obok tego świętego miejsca w Warszawie i zawsze miło było sobie przypomnieć tę uwagę, którą otrzymałem w 1993 roku.

Grupa: A uprawiał Ksiądz jakiś sport?

Ks. Paweł: Grałem w piłkę na boisku szkolnym. Mieliśmy dobre boisko, długie i szerokie, trochę podobne do waszego, tylko że było betonowe. Na podwórku nie grywałem, ponieważ mogło się to skończyć ciekawymi spotkaniami z przedstawicielami władz w mundurach. Poza tym zawsze lubiłem lekkoatletykę, skok w dal, biegi, ale to było wtedy, kiedy byłem jeszcze młody i szczupły.

Karolina: A jakie Ksiądz ma imię z chrztu?

Ks. Paweł: Mam tylko jedno imię. Miało być Czarek, ale moja babcia powiedziała, że nie będzie się jej wnuczek jak pies nazywał (bez obrazu). No i zostało Paweł.

Igor: A był Ksiądz imprezowiczem?

Ks. Paweł: Nie byłem imprezowiczem z tej prostej przyczyny, że za czasów mojej szkoły interes imprezowy dopiero zaczął się rozwijać. Wcześniej były tylko dyskoteki szkolne, wejściówka kosztowała 10 albo 15 tysięcy, wchodziło się, ale to było tak nużące, że nawet ja wolałem w piątki posiedzieć przed telewizorem.

Igor: Ale powiedział Ksiądz, że w szkole średniej już się pojawiały...

Ks. Paweł: Imprezy były, ale takie typowe – domowe, ponieważ w szkole był zakaz robienia imprez, po jednej z nich, która zakończyła się awanturą.

Magda: A co się stało?

Ks. Paweł: Nie powiem.

Grupa: Dlaczego?

Ks. Paweł: Ehh, awantura była i tyle. Zresztą podam prosty przykład niedojrzałości moich kolegów i koleżanek ze szkoły, który zniechęcał mnie do imprezowania. Po studniówce mojego kursu, różnego typu zataragi były rozwiązywane przy pomocy pięści jeszcze 48 godzin po studniówce. Dziękuję bardzo, ale to nie dla mnie. Poza tym moja klasa była bardzo zatowiszowana – każdy miał swoje zajęcia po szkole, więc wychodziliśmy z niej i szliśmy do swoich zajęć i zna-



jomych. Ja i moi koledzy potrafilismy być zgraną grupą tylko w jednej sytuacji, kiedy wychodziliśmy na boisko.

Igor: A miał Ksiądz jakieś nałogi?

Ks. Paweł: Nie, nigdy nie miałem żadnych nałogów. Z prostej przyczyny, jeśli chodzi o alkohol u nas na osiedlu, wylewało się morze gorzały i kiedy na to wszystko patrzyłem, to pamiętam, że jako dzieciak powiedziałem, że ja nie mam zamiaru robić tego, co sąsiedzi, więc alkohol skreśliłem już w dzieciństwie. Na papierosy zawsze mi było szkoda kasy. Jak pomyślałem, iż miałbym przepalić te pieniądze, to było mi szkoda, bo w tamtych czasach nie było o nie łatwo. Kieszonkowe takie jak dziś to... Nie te czasy.

Grupa: Zbierał Ksiądz na coś?

Ks. Paweł: Czy zbierałem? Nie, ale czytałem dużo komiksów: Spiderman'a, Batman'a, X-man'a, Superman'a, raczej tego typu. To były czasy, kiedy już nie było komunizmu i człowiek mógł w końcu czytać to, co w Ameryce. Pamiętam jeszcze czasy takie w przedszkole – mama jednego z kolegów mieszkała za granicą i przysyłała mu różne komiksy. Dzisiaj można sobie kupić jakieś zabawki, prawda? Myśmmy wycinali z komiksu te rysunki, konkretnie Spiker-Mana, jakoś podklejali na tekturki i tak się nimi bawili. To były totalnie inne czasy.

Igor: A miał Ksiądz dziewczynę?

Ks. Paweł: Uooo! Kolego! Miałem oczywiście, że miałem. Przy czym rozdzieliłbym dwie rzeczy: miłość od dziewczyn. Zakochany byłem wielokrotnie i natura człowieka pokazuje, że człowiek nawet będąc w małżeństwie może się zakochać i niekoniecznie to się musi przerodzić w miłość. Gdy idzie zaś o dziewczyny, to miałem dwie.

Igor: A myślał Ksiądz kiedyś o małżeństwie?

Ks. Paweł: Tak. Innych ludzi, nie myślących o małżeństwie, nie święcą na księży.

Max: To mogło być ciężko.

Ks. Paweł: Nie, chodzi o to, że normalne jest myślenie o małżeństwie, by się z kimś związać na całe życie. Gdybym tak nie myślał będąc w pewnym wieku, to byłoby to niepokojące, przecież w granicy, nie wiem, 15-16 lat, chłopakowi zaczynają się podobać dziewczyny i vice versa.

Igor: No dobrze. Studiował Ksiądz coś przed pójściem do seminarium?



Podczas mszy św. dla Młodzieżowego Koła Dziennikarskiego

Ks. Paweł: Życie! Życie na osiedlu! Nic tego nie zastąpi. Szkołę też specjalnie wybrałem taką średnią na jeża co do poziomu nauczania, ale co było tam ciekawe, to sposób traktowania nas przez nauczycieli. Traktowali nas tam jak ludzi dorosłych i egzekwowali tę dorosłość w szkole. Zrywał się – ok. – ale przychodził sprawdzian i nie było zmiłuj – wykaż się wiedzą albo zmień szkołę. To uczyło odpowiedzialności i płacenia za błędy.

Igor: Dobrze. Podobno był moment, że Ksiądz odszedł od Boga.

Ks. Paweł: Kto tak powiedział?

Igor: Nie mogę powiedzieć. Informator pozostaje anonimowy.

Ks. Paweł: Gdy spotkam człowieka, który mówi, że jest ateistą, to zawsze mu podpowiadam, iż jeśli chce być prawdziwym ateistą, czyli człowiekiem świadomie odrzucającym Boga, a nie tylko leniem duchowym, czy kulturowym modnisiem, to dobrze by było, gdyby przed podjęciem takiej decyzji postudiował trochę filozofię, antropologię, teodyceę, etykę, psychologię religii, astronomię, fizykę i biologię. Każda inna droga do postawy ateistycznej w życiu to nie prawdziwy ateizm lecz ordynarne praktykowanie paskudnego lenistwa duchowego, które jest tak samo potępiane przez różne religie, jak i przez prawdziwych ateistów. Przynajmniej takiego patrzenia na problem ateizmu nauczyło mnie oświecenie i Wolter. Nie chcesz, to nie kłaniaj się Bogu, ale przynajmniej niech to będzie efekt twoich trudnych decyzji i krytycznego spojrzenia na świat, a nie szczeniackiego lenistwa

duchowego i moralnego, albo ciemne powtarzanie poglądów innych ludzi.

Moje odejście... Miałem kilkanaście lat, tak jak mówię – na tym blokowisku różnie to było. W pewnym momencie może zabrakło trochę mobilizacji ze strony rodziców, a ja byłem niepokorna dusza: na zajęcia z religii chodziłem, ale do kościoła nie, no bo co oni mi tam mogli powiedzieć: kochaj bliźniego jak siebie samego? Przecież po to nie muszę do kościoła iść. Można to przeczytać w Piśmie Świętym. Był taki czas, kiedy po kłótni z księdzem przestałem chodzić na lekcje religii i muszę nawet przyznać z bólem, że nakręciłem większą grupę kolegów z mojej klasy, abyśmy się wypisali z religii i mogli w spokoju przez dodatkową godzinę grać w piłkę. Z innym księdzem dochodziło prawie do bójek, ale to nie zmienia faktu, że wina nigdy nie była tylko z jednej strony. Oni mieli kiepskie dni, a ja dawałem się ponieść emocjom i pewnym poglądom. Konsekwencją tego były pewne głupie decyzje młodości, za które przyszło płacić później. Nie polecam w przypływie emocji rezygnować z relacji z Bogiem.

Igor: A jak to się stało, że Ksiądz trafił do seminarium?

Ks. Paweł: Teologia uczy, że łaska bazuje na naturze. Jak to było... ciężko powiedzieć. Stwierdziłem, że chyba przyszedł czas, żeby Panu Bogu dać szansę, a skoro seminarium nie stawia żadnych warunków i nie pyta o przeszłość człowieka, tylko daje szansę... Chcesz, możesz przyjść, pobyć z nami jakiś czas, pomodlić się i zobaczyć. Wielu ludzi, którzy udają się do seminarium, naprawdę nie myśli o tym, żeby zostać księdzem, tylko chce po prostu w ciszy i w spokoju, które gwarantuje seminarium, porozmawiać z Panem Bogiem. Ja raczej trafiłem tam na takiej zasadzie, że chciałem uporządkować pewne sprawy, ponieważ Pan Bóg „wstrząsnął” mną w pewnym momencie życia i pokazał, że już pewnych przegięć było za dużo. A jeśli idziesz w to dalej, to Ja ci nie gwarantuję, że to się dobrze skończy. Natomiast jeśli zaczniesz mnie Ośle Dardanełski słuchać, to może jeszcze się ogarniesz w życiu.

Karolina: Gdyby nie wybrał Ksiądz seminarium, miał już Ksiądz plany na coś innego?



Ks. Paweł: Miałem plany, ponieważ jestem takim człowiekiem, który nigdy nie zaczyna robić czegoś, jeśli sobie wcześniej nie ułoży jakiegoś planu. Generalnie dużo rzeczy staram się zaplanować. Jakie to były plany... przede wszystkim, żeby mnie rodzice przez miesiąc przetrzymali w domu, a ja bym sobie przez ten czas jakąś pracę znalazł. W Warszawie tak naprawdę nie pracują tylko ci, którzy nie chcą. To kwestia pochodzenia gdzie trzeba, ponaciskania na odpowiednich ludzi, żeby jakąś mniej lub bardziej dobrą pracę sobie znaleźć. Pewnie, że miałem takie wyjście awaryjne. Na szczęście nie musiałem z niego korzystać.

Igor: A dlaczego Ksiądz został księdzem?

Ks. Paweł: Sobór Watykański II w jednym ze swoich dokumentów naucza: dlaczego Pan Bóg chce zbawić człowieka? I odpowiada: Panu Bogu się tak spodobało. Tak samo tutaj. Spodobało się Panu Bogu, że akurat mnie chciał zainteresować Sobą i Kościołem.

Zobaczyłem, że jest potrzeba. Znałem ludzi, którzy z Panem Bogiem mają problem, a do kościoła nie lubią chodzić. Nie lubią księży, nie lubią tych, którzy chodzą do kościoła, więc stwierdziłem, że jeśli mnie się pewne klapki otworzyły, to może będę w stanie im jakoś pomóc. Słuchajcie, to nie jest tak, że Pan Jezus objawia się, jak św. Faustynie i mówi: „Zostań księdzem”. Wybór ocenia się przede wszystkim od strony sumienia. Ważna jest również predyspozycja osobowościowa. Nie każdy człowiek jest w stanie wytrzymać w samotności. Mnie ta samotność nie przeszkadza. Predyspozycja intelektualna, czy człowiek jest w stanie pracować np. 16 godzin dziennie, tak jak to ma miejsce w Warszawie. Są takie momenty, w których 16 godzin to norma. Ja stwierdziłem, że się nadaję, na rozmowach z Panem Bogiem nie usłyszałem jakiegoś wyraźnego sprzeciwu, a nauczyłem się lepiej lub gorzej rozeznawać w sumieniu tzw. duchy, według zasady św. Ignacego z Loyoli oraz natchnienia Pana Boga. Stwierdziłem, że skoro Ty Boże nie masz nic przeciwko, a ja chciałbym Ci pomóc, to idziemy w to!

Igor: Jak wyglądało Księdza wejście i pierwsza lekcja w naszej szkole?

Ks. Paweł: Pierwszą lekcję miałem w klasie 3D LO, którą bardzo serdecznie pozdrawiam. Jak wyglą-

dała? Wcześniej pytałem księdza Andrzeja, jak prowadził swoje lekcje, czy robił jakieś sprawdziany. Może mało się uśmiechałem, bo jestem taką osobą, która czasami przyjmuje zbyt formalną postawę, ale powiedziałem w każdej klasie prawie dokładnie to samo: będą pewne sprawdziany, ale bardzo proszę się tym nie przejmować, ponieważ wiem, że religia nie jest najważniejszym przedmiotem, szczególnie dla klas maturalnych, po czym dodałem, że zależy mi na tym, żeby zeszyt był jako tako prowadzony. Na studiach tak też będzie. To, czego człowiek nauczy się na sprawdzian, szybko z głowy ucieka. Natomiast ważne są dobre notatki. Do dobrych notatek można po latach sięgnąć. Bardzo fajnie wspominam tamten pierwszy dzień. Byłem w różnych szkołach. Tutaj w Komorowie, mam skromną nadzieję, że uda się nam na tyle ciekawie pracować, żebym i ja nie był znudzony tymi zajęciami i klasa, bo to by była jakaś obopólna porażka.

Karolina: A jak czuł się Ksiądz podczas swojej pierwszej mszy?

Ks. Paweł: Ja nie mam jakiegoś lęku przed ludźmi, nie stresuję się. Niektórzy moi koledzy stresowali się na początku mszami, żeby jakiś gest dobrze wykonać. Uderzyła mnie taka miła atmosfera, bo przyszedłem tutaj z kościoła, w którym jakby ten kościółek komorowski ustawić, to by się ich z 7 w np. św. Wojciechu zmieściło albo i 8. Panuje tu dobra atmosfera, widać, że ludzie mają poczucie w Komorowie, że to jest ICH kościół. Nie przychodzą do jakichś urzędników kościelnych. To jest ich kościół i czują się tu dobrze.

Igor: No właśnie. Został on zbudowany po wojnie w podzięce za to, że nie został wysadzony magazyn z bronią.

Ks. Paweł: Tak jest. I dlatego, że w 1939 r. nie wybuchło trzydzieści bomb, które spadły na Komorów.

Igor: Czy myśli Ksiądz, że jest surowym nauczycielem?

Ks. Paweł: Hm... Co to znaczy surowy nauczyciel. Jeżeli powiemy, że termin „surowy” w języku polskim ma być równoważnikiem łacińskiego „severus” (kogoś, kto stara się wprowadzić dyscyplinę, ale nie dla niej samej, tylko żeby pomagać w nauce), to nie uważam, że jestem surowym nauczycielem, bo ze mną jak z dzieckiem, można pewne rzeczy umówić i do-

gadać. Natomiast powiedzmy sobie szczerze, jako nauczyciel muszę dbać o dwie rzeczy, o dyscyplinę i żeby pewien poziom wiedzy był na lekcjach przekazany. Naprawdę bardzo się cieszę tym, że potrafcie siedzieć cicho i w skupieniu słuchać i oby to się nie zmieniło. Ale jeśli ja przy pomocy jakiejś kwaśnej miny czy podniesionego głosu będę musiał walczyć o tę dyscyplinę potrzebną do nauki, to będę to robił, choć z ciężkim sercem.

Igor: A lubi Ksiądz uczyć?

Ks. Paweł: Powiem szczerze, że sam bardzo nie lubiłem chodzić do szkoły. Podczas mszy rozpoczynającej rok szkolny mówiłem do rodziców o tym, że ze szkołą mamy taki problem, że ludzie nie lubią do niej chodzić, bo jest tam jakieś niepotrzebne napięcie. Nie mówię, że tutaj, w tej szkole ma to miejsce. Jednak ogólnie obserwuje się to, że szkoła potrafi stresować w złym sensie. Sam stres w pewnym stopniu jest nam czasem potrzebny do pobudzenia intelektu itd. Ludzie boją się chodzić do szkoły. Mówiłem żebyśmy uważali, żebyśmy tutaj w Komorowie nie budowali takiej atmosfery, bo ona niczemu nie sprzyja. Ja chodziłem do dwóch szkół, gdzie poziom stresu bywał wysoki, gdzie poza zajęciami z wychowania fizycznego i paroma innymi, ja osobiście nie chciałem tam chodzić. Lecz muszę powiedzieć, że jako nauczyciel bardzo lubię chodzić do szkoły.

Grupa: Nauczycielom to lepiej.

Ks. Paweł: Też tak myślałem, ale to tak nie do końca. Z tej strony, kiedy się stoi jako nauczyciel, to widać, że to wcale nie jest taka sielanka. Nie jest sztuką to, żeby się wydzierać na was. Sztuką jest zainteresować. Sprawić, żebyście chcieli podjąć edukację, a edukacja – z języka greckiego dosłownie tłumacząc – znaczy postępowanie po pewnej sprawdzonej ścieżce. Dajemy wam wiedzę, żebyście potrafili postępować w życiu zgodnie z nią. Patrząc na to w ten sposób, w jaki edukację od czasów Platona ujmowali Grecy, bardzo lubię uczyć w szkole. Przyznam się, iż w seminarium to były jedyne praktyki, na które nie trzeba było mnie wyganiać.

Igor: A jak Ksiądz sądzi, co mówi o Księdzu uczniowie?

Ks. Paweł: Surowy, robi sprawdziany. Ja im cały czas mówię: licealiści, to nie o to chodzi. Stawiać oceny za ładny uśmiech, albo za szlaczek, to jest



po prostu obrażanie was. To jest tak, jakbyście nie potrafili się nauczyć.

Igor: Proszę Księdza... Zadałem uczniom pytania na temat Księdza, a propos tej pierwszej lekcji, no i muszę Księdzu powiedzieć, że generalnie się Ksiądz wszystkim spodobał. Nikt nie mówił, że Ksiądz jest surowy, że jest Ksiądz uparty, ale dostałem cynk, że wielu uczniów odchodzi, wypisuje się z religii przez zasady Księdza.

Ks. Paweł: Po tych pierwszych zajęciach we wszystkich klasach maksymalnie wypisało się 6-9 osób. Reszty osób, które się wypisały, nie widziałem na oczy już na pierwszych zajęciach. Wypisały się głównie osoby z klas trzecich, ponieważ one jako pełnoletnie mogą podjąć taką decyzję same. Tak jak mówię... w klasach trzecich mniej więcej ponad połowa osób chodzi na religię, w klasie 3A chodzi zdecydowana większość. Mówiłem tym osobom, które się wypisały, że mogą przychodzić. W klasach pierwszych, już kiedy jechaliśmy do Częstochowy, to niektóre osoby mówiły: „Proszę księdza, my w gimnazjum nie chodziliśmy na religię no i tutaj też nie będziemy. Rodzice nas wypiszą”. I tak to jest z tym wypisywaniem. Zbudowało mnie to, że w jednej klasie dziewczyny mi powiedziały że w zeszłym roku 4 osoby chodziły, teraz 11. Pokuszę się o pewną opinię, skoro już poruszamy tę kwestię. Moim zdaniem w sporej części wypisały się osoby, które podjęły emocjonalną decyzję.

Igor: Co robi Ksiądz po lekcjach?

Ks. Paweł: To zależy, ile przypadnie mi obowiązków. Na przykład ostatnio trzeba było jechać do chorej osoby, jeszcze jakieś rzeczy na mieście załatwić, na kurs małżeński pojechać (Uczniowie: śmiech; Ks. Paweł: Nie dla mnie ten kurs małżeński!). Generalnie staram się dokształcać.

Dagmara: Jakież języki na przykład?

Ks. Paweł: Angielskiego uczyłem się przez 16 lat. Już chyba na tyle dobrze go poznałem, że potrafię się dogadać. W liceum kazali mi się uczyć francuskiego, ale z akcentem na słowo – kazali. Teraz żałuję, bo trzy lata przeszły na marne, a ja wciąż potrafię tylko powiedzieć, że mam 15 lat.

Igor: Ale wie Ksiądz... tak wracając do kursów małżeńskich... Co Ksiądz na ten temat myśli, w sumie wolność...?

Ks. Paweł: A możemy się umówić na inny wywiad, bo to zbyt poważny temat, żeby zdawkowo odpowiedzieć. Myślę, że to wymaga refleksji.

Igor: A jakiej słucha Ksiądz muzyki?

Ks. Paweł: Przeróżnej. Queen, U2, Depeche Mode, hiciory, które da się legalnie ściągnąć z Youtube. pl, Linkin Park, Metallica – tylko nie wszystkie utwory, Nirvana, jeśli trzeba to i Sabathon.

Igor: A zespoły typu Black Sabbath, Slayer?

Ks. Paweł: Nie, natomiast z jeszcze starszych Led Zeppelin, szczególnie Stairway to Heaven. The Beatles mnie drażnią, ale nie wszystkie piosenki, może być John Lenon choć miał fiubdzdu w głowie, szczególnie w piosence Imagine. Arka Noego tak, ale z jednej prostej przyczyny. Te teksty może się wydają dziecinne, ale są niezwykle mądre. Można się przy nich modlić, a nawet zrobić rachunek sumienia.

Karolina: A czy lubi Ksiądz śpiewać.

Ks. Paweł: Odpowiem tekstem z jednego kabaretu, w którym Jerzy Stuhr śpiewał: „Śpiewać każdy może trochę lepiej lub trochę gorzej, ale nie o to chodzi jak to komu przychodzi, czasami człowiek musi, inaczej się udusi, huuuu”. Lubię śpiewać. U mnie w rodzinie wszyscy lubili śpiewać. W domu tata słuchał radiowej trójki Marka Niedźwieckiego. Moje pierwsze występy wokalne związane były z piosenką Europe – The final countdown, kiedy to brałem mikrofon, który był w domu albo szcztokę, kiedy byłem u babci i udawałem, że śpiewam.

Karolina: A czy lubi Ksiądz poezję śpiewaną?

Ks. Paweł: Oj przyznam się, że w poezji jestem całkowitym neandertalczykiem. Do poezji potrzeba ducha spokoju. Jeśli jednak ktoś powie, że Grzegorz Turnau to poezja śpiewana, to owszem – podoba mi się śpiewana poezja.

Ks. Paweł: A jakie rodzaje filmów Ksiądz lubi?

Ks. Paweł: Nie trawię bezmyślnych horrorów jak „Piła”, ponieważ nie sposób jest epatować przemocą, pokazywać przemoc w sposób przejawiony i dziwny. Jeżeli ktoś za horror uzna „Koszmar z ulicy Wiązów”, to powiem, że tak. Lubiłem oglądać Freddiego Krugera, dlatego, że na tym filmie faktycz-

nie można się było czasem przestraszyć. Lubiłem taki horror jak „Cube”, bo na tym filmie cały czas jest się zmuszonym do myślenia. Ale „Krzyk”, czy jakaś „Teksańska masakra piłą mechaniczną” to jest po prostu bezsensowne wylewanie hektolitrowej czerwonego płynu na wyobraźnię widza. Powiem szczerze i dosadnie: uważam, że autorzy takich filmów to psychopaci, bądź ludzie o takich tendencjach, lub wręcz masochiści. Normalny człowiek, który nie ma kontaktu z przemocą, brzydzi się nią, bo ma w sobie normalny poziom wrażliwości i brutalność go odpycha. Po kilku takich seansach, zdrowy poziom odrzucania tego typu treści się w nas zmniejsza i nie ma się co dziwić różnym wypadkom po obejrzeniu tego typu bzdur. Jako dziecko lubiłem również filmy s-f.

Blanka: Ja lubię Star Trek!

Ks. Paweł: Dla mnie filmami kultowymi gatunku były „Obcy” i „Predator”. W przedszkolu byliśmy fanami „Rambo”, bo dla nas była to pewna ikona. Każdy się porównywał do Stallona albo Arnolda Schwarzeneggera. Poza tym wszelakiej maści filmy: historyczne, kostiumowe, dramaty... Polecam „Siódmą pieczęć” Ingmara Bergmana – film o tym, czym w życiu człowieka jest śmierć, jakie miejsce przypada jej w naszym życiu. Ale ostrzegam – film jest trudny w odbiorze.

Igor: Co lubi Ksiądz czytać?

Ks. Paweł: Książki naukowe. Ostatnia normalna książka, którą przeczytałem, to przyznam się, była książka, na podstawie której powstał film „Rambo – pierwsza krew”. Książka bardzo różni się od filmu, chociażby tym, że przedstawia Rambo jako złego bohatera, a jego dowódcę jako kogoś, kto ma się go pozbyć dla świętego spokoju społeczeństwa i armii. Książka jest ciekawa o tyle, że podejmuje rozrachunek z przeszłością Ameryki i stara się ukazać tragedię społeczeństwa, które dla świętego spokoju swoich małomiasteczkowych planów, odrzuca pamięć o swoich bohaterach. My w Polsce możemy się uczyć, jak nie popełnić tego grzechu w stosunku do bohaterów przeszłości i tych nowych – którzy wracają do nas z Iraku i Afganistanu.

Igor: Dziękujemy Księdzu za znalezienie dla nas czasu i rozmowę.

*Z Księdzem Pawłem rozmawiali
Igor Połowicz
i jego Klub Dyskusyjny*

W dwa miesiące po trzeciej wizycie na środkowych Kresach...

Jesienne myśli

Listopad zawsze skłania do zadumy. W dwójnasób, jeśli przypada w czasie licznych okrągłych rocznic. Wtedy osoby usposobione refleksyjnie, nie tylko wspominają bliskich zmarłych i tych, co polegali za Ojczyznę, ale też pytają: dokąd idziesz Polsko?

Kto gorliwie szuka odpowiedzi na te i podobne pytania – powinien zabrać się z nami w niesentymalną – przynajmniej dla mnie – podróż na Kresy. Tymczasem tłoku nie było, a szkoda, bo to, co zobaczyliśmy i czego doświadczyliśmy, słowa nie opiszą...

Wielu z nas jechało obejrzeć rodzinne kąty. Wszyscy, pokłonić się Katyńskim Grobom... Mnie z tą ziemią nie łączy żadna osobista krwawa „nić”...

Poza ukochaną cioteczką z Wilna, moim *pra...*, *pra...*, pradziadkiem po mieczu, co przy księciu litewskim kule czynił, i drugim po kądzieli, który po jednym z licznych (bodaj styczniowym powstaniu), został „skonfiskowany” i ze stadkiem baranów u nogi wywinąwszy się od wywozu na białe niedźwiedzie „zabłądził” na Kujawy. Ale kiedy to było? Prawda to – czy rodzinna legenda?

Bez resentymentów i nierealnych tęsknot „za rajem utraconym” tam po prostu co jakiś czas trzeba bywać. Bywać bardziej niż na Karaibach, w dzikich krajach czy licho wie gdzie jeszcze. Właśnie tam trzeba jechać, by zobaczyć dawną kresową Polskę, ziemię o wielkim dla nas znaczeniu. Jakież wpływ na naszą mentalność mieli jej synowie! Ile piękna wnieśli do polskiej kultury. Wreszcie, ile myślenia Polską i o Polsce ku nam stamtąd szło. Jakim blaskiem Rzeczpospolita właśnie tam, na Kresach, lśniła... Wielki Józef Piłsudski zwykł mawiać, że: „Polska jest jak obwarzanek – to warta, co po brzegach”.

Nasza grupa pielgrzymkowa pod domem Tadeusza Kościuszki w Kosowie

Święte słowa potwierdzili Moniuszko, Mickiewicz, Zan, Dołęga-Mostowicz, Kościuszko, Kapuściński, Orzeszkowa, Anders, Rodziewiczówna, Rejtan... Wiele wielkich nazwisk. Dziesiątki wspaniałych ludzi. Kresy to ziemia usiana szlacheckimi dworami, kościołami, cmentarzami, magnackimi gruzowiskami...

Jeśli chcesz popatrzeć sobie w twarz, obejrzeć się jak w lustrze, zapytać gdzie byliśmy, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy, trzeba koniecznie jechać na nasze dawne Kresy. Tam dobitnie zobaczymy, że nic na świecie, nic w życiu – nie stanowi constans...

Boję się starczych uniesień, babskiego patosu. Ale kiedy tak wędrowałam od grobu do grobu, kiedy przed oczyma pamięci przesuwano się wielka historia Polski na tych ziemiach, ziemiach które 70 lat temu gwałtownie i bezpowrotnie utraciliśmy, nie mogłam oprzeć się uczuciu, że coś w nas Polakach właśnie z tej przyczyny pęka i od lat umiera. Że na naszym gruzowisku rodzi się nowe. Czy będzie pamiętać, o tym, że tam byliśmy? To w dużym stopniu także od nas zależy.

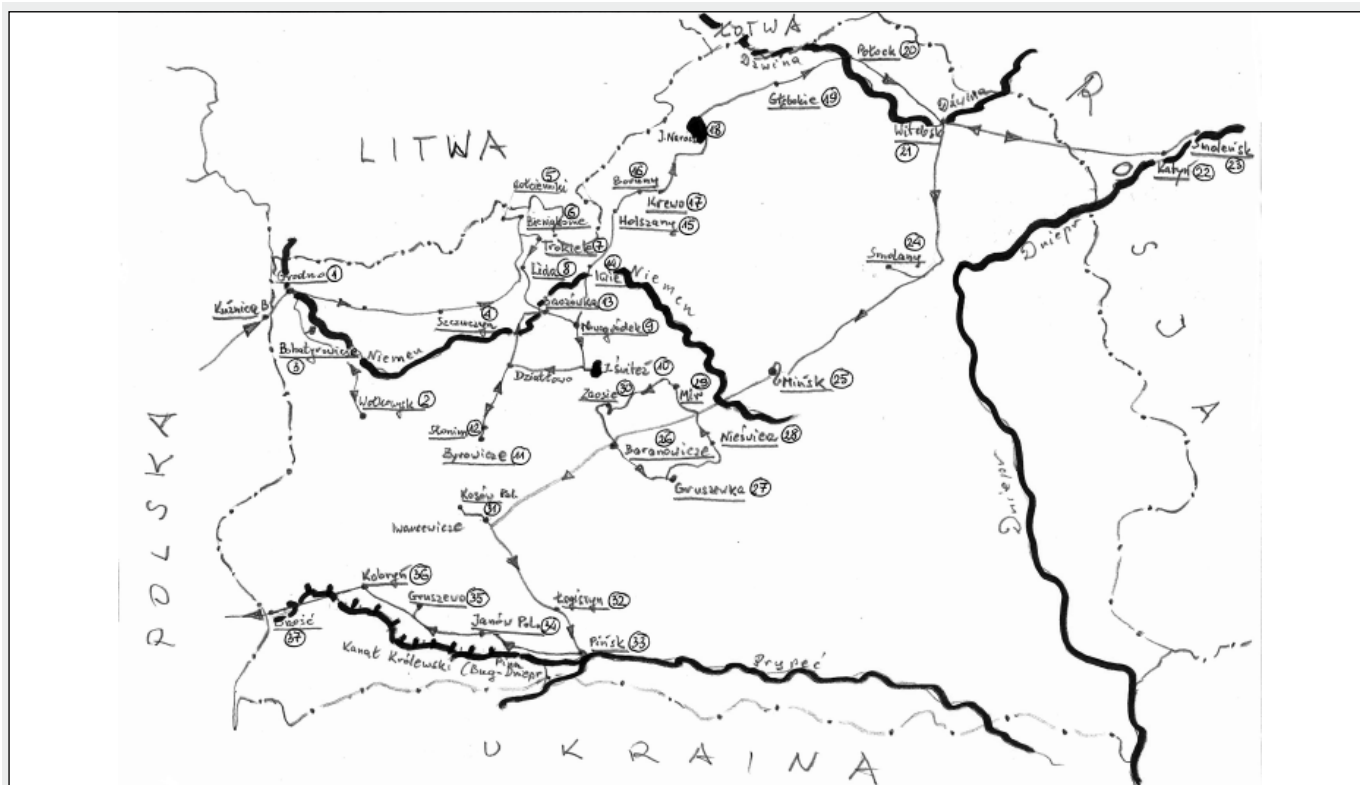
Trzeci raz tam byłam – pierwszy raz jeszcze za czasów ZSRR, dwa razy już na Białorusi. Tym razem ze zdumieniem przecierałam oczy...

Zobaczyłam obsiane oziminą pola. Wiele łąk z ogromnymi stadami krów. Kolorowe „sielskie garadki”, wsie z malowanymi płotami. „Pracujące” cerkwie i kościoły. Zadbane cmentarze, także wojenne polskie. Szerokie, gładkie, puste, dobrze oznakowane drogi. Wykoszone pobocza...

Owszem, jest jeszcze dużo tego, z czym myśmy podobno się już rozstali, ale porządek widziany przez okna autokaru mają większy...

Lidia Kulczyńska-Pilich





Legenda do mapki trasy pielgrzymki na Białoruś i do Rosji w dniach 21–29 września 2009

Indeks miejscowości z wykazem zwiedzanych obiektów

(1) **GRODNO** Katedra pw. św. Franciszka Ksawerego (kościół i klasztor jezuitów), Stary Zamek, Nowy Zamek, Cerkiew pw. Borysa i Gleba, muzeum E. Orzeszkowej.

(2) **WÓLKOWYSK** Szkoła polska, cmentarz żołnierzy wojny 1920 r.

(3) **BOHATYROWICZE** Grób Jana i Cecylii, kopiec powstańców 1863 r.

(4) **SZCZUCZYN** Ruiny pałacu ks. Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, kościół pw. św. Teresy.

(5) **BOLCIENIKI** Dwór Puttkamerów i gajk Maryli.

(6) **BIENIAKONIE** Grób Maryli Wereszczakówny.

(7) **TROKIELE** Kościół pw. Nawiedzenia MB, cudowny obraz MB Trokielskiej.

(8) **LIDA** Kościół pw. Podwyższenia Krzyża; cudowny obraz MB Lidzkiej, zamek książąt litewskich.

(9) **NOWOGRÓDEK** Kościół farny pw. Przemienienia Pańskiego, cudowny obraz MB Nowogródzkiej; kościół poddominikański pw. św. Michała – tablica z popiersiem A. Mickiewicza, kościół i klasztor franciszkanów (cerkiew); cerkiew pw. Borysa i Gleba; ruiny zamku książąt litewskich; pomnik A. Mickiewicza obok góry zamkowej; muzeum – dworek A. Mickiewicza; miejsce egzekucji 11 siostr nazaretanek.

(10) **Jezioro ŚWITEŻ** – krótki pobyt na zach. brzegu

(11) **ŻYROWICE** Sobór Uspieński; obraz MB Żyrowickiej.

(12) **SŁONIM** Kościół pw. św. Andrzeja.

(13) **BRZOZÓWKA** Wizyta w firmowym sklepie z wyrobami szklanymi.

(14) **IWIE** Meczet.

(15) **HOLSZANY** Ruiny zamku Sapiechów.

(16) **BORUNY** Pobazyliński kościół pw. Piotra i Pawła; cudowny obraz MB Boruńskiej; witraże.

(17) **KREWO** Ruiny zamku książąt litewskich.

(18) **Jezioro NAROCZ** Przejazd wzdłuż wschodniego brzegu jeziora.

(19) **GŁĘBOKIE** Więzienie w Berezwezu (d. klasztor bazylianów), kościół pw. św. Trójcy; obraz MB z Dzieciątkiem – dom Tadeusza Dołęgi-Mostowicza; cmentarz żołnierzy 1920 r. i obelisk Konstytucji 3-Maja 1791 r.

(20) **POŁOCK** Zespół monastynu Spaso-Jefrosinnijewskiego.

(21) **WITEBSK** Klasztor bazylianów; cerkiew MB Kazańskiej; ratusz; dom – muzeum M. Chagalla.

(22) **KATYŃ** Msza św. na cmentarzu polskim.

(23) **SMOLEŃSK** Objazd miasta; cerkiew, kremel.

(24) **SMOLANY** Ruiny kościoła i klasztoru dominikanów; grób Tomasza Zana; ruiny zamku Sanguszków.

(25) **MIŃSK** Objazd miasta; muzeum Wańkowiczów; kościół i klasztor bernardynów – cerkiew prawosławna; cmentarz Kuropaty.

(26) **BARANOWICZE** Cerkiew z płytkami dekoracyjnymi z rozebranej cerkwi z pl. Piłsudskiego w Warszawie (1921); radio-stacja z 20-lecia międzywojennego; siedziba zakonu żeńskiego.

(27) **HRUSZÓWKA** Majątek i kaplica rodu Rejtanów.

(28) **NIEŚWIEŻ** Zamek i park Radziwiłłów, kościół pw. Bożego Ciała; nekropolia w krypcie.

(29) **MIR** Zamek i rynek żydowski.

(30) **ZAOSIE** Rekonstrukcja zagrody Mickiewiczów – muzeum.

(31) **KOSÓW POLESKI** Rekonstrukcja dworku Kościuszków – muzeum, zamek Pusłowskich.

(32) **ŁOGISZYN** Sanktuarium MB Łogiszyńskiej (Poleskiej).

(33) **PIŃSK** Dom Kapuścińskiego; fabryka zapalek; kapliczka A. Boboli; kolegium jezuitów; spacer statkiem po Pinie i Prypecu; katedra pw. Wniebowzięcia NMP (kościół i klasztor po-franciszkański).

(34) **JANÓW POLESKI** Miejsce pojmania Andrzeja Boboli (krzyże pojednania); miejsce śmierci A. Boboli – droga krzyżowa wokół kościoła.

(35) **HRUSZOWA** Majątek Marii Rodziewiczówny.

(36) **KOBRYŃ** Dworek R. Traugutta; cmentarz żołnierzy wojny 1920 r.; grób rodziny Mickiewiczów.

(37) **BRZEŚĆ** Twierdza i cmentarz wojenny – kwatery żołnierzy polskich – obrońców Brześcia.

Pielgrzymka do Katynia nad Niemen, Dźwinę i Prypeć

Impresje rodzinne

*Opowieść tę dedykuję
moim Dzieciom*

Jak tylko usłyszałam ogłoszenie o organizowanej przez naszą parafię pielgrzymce do Katynia z przejazdem przez Białoruś, uznałam, iż jest ona organizowana specjalnie dla mnie (choć nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy z naszym ks. Proboszczem). Była to jedyna okazja, abym mogła choć raz przejść śladami moich przodków i dlatego też na samym wstępie najserdeczniej dziękuję Ks. Proboszczowi za pomysł i zorganizowanie pielgrzymki, która okazała się być najważniejsza w moim życiu.

Bez zachowania chronologii odwiedzanych podczas pielgrzymki miejsc przebiegnę po nich śladami pamięci, zgodnie z tym, co moje babcie przekazywały mnie jako dziecku, a potem rodzice nastolatce i człowiekowi dorosłemu, a co uważam za warte przekazania kolejnemu pokoleniu.

Znad malowniczej Piny

Pierwsze, co pamiętam z rodzinnych opowiadań, to Pińsk. Mieliliśmy okazję przekonać się podczas naszego pielgrzymowania, iż istotnie jest cudownie położony nad rzeką dokładnie tak, jak opowiadały mi moja prababcia Nela oraz jej córki, a moje babcie Helenka i jej siostra Ania (ze strony mojej mamy). W Pińsku zachował się przepiękny kościół, w którym bardzo młoda Helenka śpiewała pięknym sopranem, a jej śpiew zrobił piorunujące wrażenie na dziadku Janie Kowszyku, który zapragnął poznać właścicielkę anielskiego głosu na tyle skutecznie, że się z nią ożenił i „uprowadził” w swoje rodzinne strony, tj. w okolice Łyntup (obecnie zachodnio-północna Białoruś). Tam też urodziła się moja mama Sabina jako najstarsza z czworga rodzeństwa.

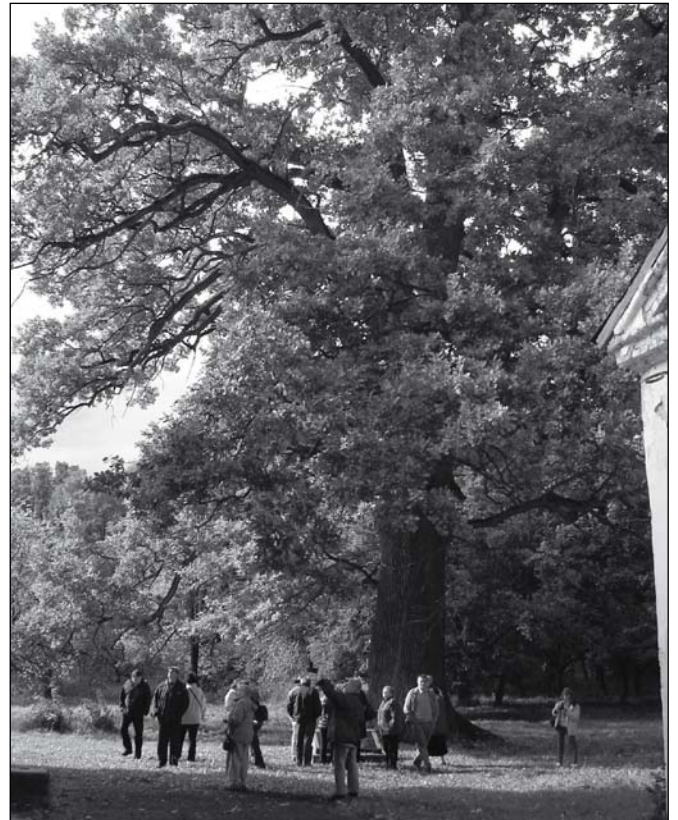
Przy okazji chciałabym podkreślić, iż były to ziemie wchodzące w skład II Rzeczypospolitej, określane często jako Kresy lub Wileńszczyzna. Wiem, że po wojnie było sporo zamieszania z określeniem kraju miejsca urodzenia (Polska czy ZSRR?) w oficjalnych dokumentach osób urodzonych na tych terenach.

Zadomowiona pisarka i inni sąsiedzi

Zanim mój dziadek Jan pojął za żonę babcię Helenę, mój pradziadek Piotr zakupił ziemię niedaleko Gruszewa, a więc dóbr należących do słynnej pisarki Marii Rodziewiczówny. Moje babcie znały ją osobiście i bardzo lubiły. Mawiały o niej: „nosiła się z męską, lubiła jeździć konno i czerpała tematy do swych książek z życia sąsiadów, z którymi lubiła rozmawiać...”. Tłumaczyły mi kto jest kim w książkach Rodziewiczówny, znały prawie wszystkich opisywanych bohaterów. Oczywiście ani tego nie zapamiętałam ani, przykro to powiedzieć, nie za bardzo mnie to wówczas interesowało – zarejestrowałam tylko w pamięci, iż w mieszkaniu mojej babci (już długo po wojnie w War-

szawie) znajdowały się absolutnie wszystkie wydane w Polsce książki Rodziewiczówny. Długo też myślałam, że była członkiem naszej rodziny – z tak wielką serdecznością zawsze o niej mówiono i zachęcano do czytania jej książek. Teraz, kiedy zobaczyłam Dewajtis – 600-letni dąb, tablicę poświęconą Rodziewiczównie oraz jej popadający w ruinę dom (czy można go nazwać dworkiem?), to opanowało mnie wielkie wzruszenie. Jeśli od najmłodszych lat słucha się opowiadań, to traktuje się je trochę jak bajki, a kiedy fakty wskazują i to po latach, że nie były to bajki, to człowieka ogarnia wielkie poruszenie i wzruszenie. Było ono moim udziałem kilkakrotnie podczas tej pielgrzymki.

Dąb Dewajtis





Nasz przewodnik Stanisław Poczobut

W jakimś momencie, według rodzinnych przekazów, część mojej rodziny mieszkała w sąsiedztwie rodziny Dzierżyńskich. Moje babcie mówiły, iż to niezwykle przyzwoici, pracowici ludzie, tylko ten Feluś – taka zakąła i czarna owca, wstyd rodzinie przynosi. Przez długie lata nie miałam bladego pojęcia, kim tak naprawdę był ów legendarny Feluś, który nawet jednego z sąsiadów wydestał z więzienia na Łubiance. Jak już zrozumiałam, to skóra mi ścierpła na grzbiecie z przerażenia, bo jak wiadomo był to rzeźnik, człowiek wyjątkowego okrucieństwa i bliski współpracownik Stalina. Myślę, że nie tylko swojej rodzinie, ale i nam Polakom wstyd niestety przyniósł.

Prosto, kresowo i z zaśpiewem

Naszym przewodnikiem podczas pielgrzymki po Białorusi był cudowny gawędziarz, a przede wszystkim wielki patriota świetnie zorientowany w historii Polski i pisarz w jednej osobie, p. Stanisław Poczobut Odlanicki. Wyjaśnił nam m.in., co oznacza pojęcie szlachta zaściankowa. O zaściankach często mówiły moje babcie, ale dopiero p. Stanisław podał definicję, według której „była to grupa osób pochodzenia szlacheckiego, często gęsto bardzo biedna materialnie, pracująca fizycznie na własnej ziemi, o nastawieniu patriotycznym, prospołecznym, dość dobrze odczytana i przywiązująca wielką wagę do wykształcenia”. Mogę jeszcze za p. Stanisławem dodać, iż w całym kraju, ale głównie na Kresach, mężczyźni za udział w powstaniach narodowych byli zsyłani na Syberię, a kobiety prowadziły majątki, wychowywały dzieci, zajmowały się domem itp. Dlatego też moje babcie żadnej pracy się nie bały – najpierw prowadziły jeszcze w Pińsku sklep, potem pracowały w polu i ogrodzie, znały się na ziołach (którymi leczyły

siebie i innych), krzewach, drzewach, drobiu i zwierzętach hodowlanych, jednocześnie czytając sporo książek.

Słowno o obyczajności

Cechą charakterystyczną kresowian obok pracowitości jest gościnność: „gość w dom Bóg w dom”. Ze szczególną atencją, co przy okazji wizyty w dworku – muzeum w Merczowszczyźnie poświęconym Tadeuszowi Kościuszcze podkreślał oprowadzający nas przewodnik – był podejmowany ksiądz. Ksiądz proboszcz sadzany był na honorowym miejscu, a doskonale pamiętam mimo swoich niewielu lat, że moja prababcia całowała w rękę (jako wyraz najwyższego szacunku) księdza, chociaż ten mógłby być spokojnie jej wnukiem. Wpajano mi także od małego, że jest to „osoba duchowna, wybrana przez Pana Boga”. Sądzę, że dzisiaj, nie namawiając nikogo, by koniecznie obcałowywał ręce naszych dobrodziej, przydałby się ów kresowy szacunek okazywany kapłanom i siostrzom zakonnym, bo to istotnie są pośrednicy pomiędzy Bogiem i ludźmi. Często zapominamy, że są to osoby konsekrowane, a myślę, że i im samym jest bardzo trudno realizować swoją posługę na ziemi bez wsparcia modlitwą i dobrym słowem ze strony ludzi świeckich.

Na Kresach wyznawana religia łączyła się ściśle z tożsamością narodową – a więc jak katolik, to Polak, jak prawosławny, to Białorusin lub Rosjanin. Kiedy p. Stanisław o tym wspomniał, przypomniało mi się, że pierwszym wierszem, którego mnie nauczono, był „Powrót taty” Adama Mickiewicza, a na podstawie tego m.in. fragmentu przekonywano o sile modlitwy:

„Całują ziemię, potem: „W imię Ojca,
Syna i Ducha Świętego,
Bądź pochwalona, przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.”

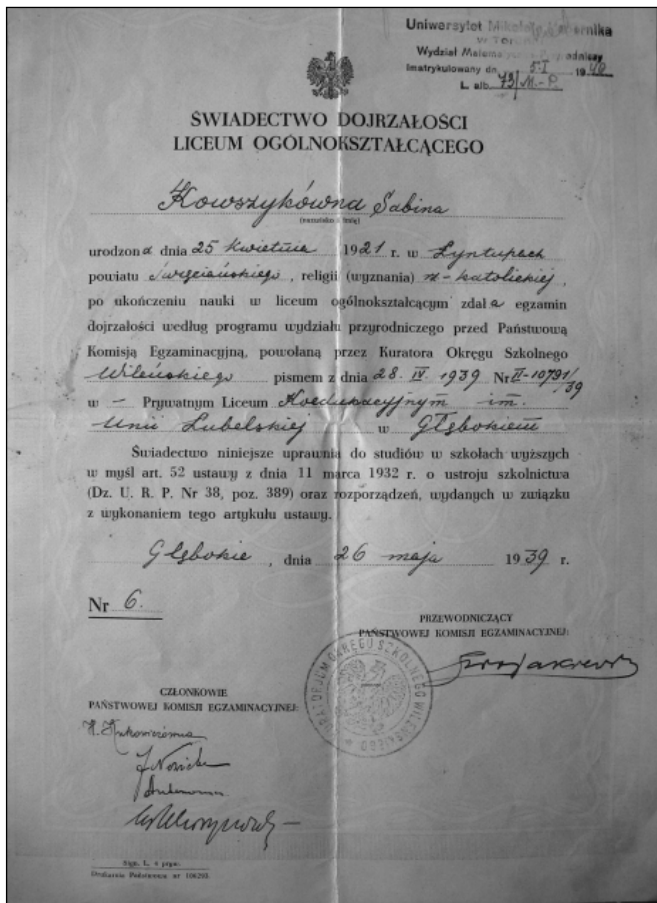
Potem: Ojcze nasz i Zdrowaś, i Wierzę,
Dziesięcioro, i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litaniją do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem
„Najświętsza Matko – przyśpiwują dziatki –
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!”

O Adasiu z Zaosia

W rodzinnym domu wpojono mi, że największym polskim poetą jest Adam Mickiewicz! Zresztą w szkole mówiono dokładnie to samo. Teraz, kiedy usłyszeliśmy podczas zwiedzania muzeum w Zaosiu, ile nacji uważa go za swego poetę, wydało mi się to bardzo dziwne. Ale może należałoby się cieszyć z tego powodu? Tak trudno jednak dzielić się kimś, kto w świadomości Polaków jest uważany wyłącznie za naszego czyli polskiego Wieszcza.

Wielkie wrażenie zrobił na mnie Nowogródek – dom Adama, fara, jezioro Świteż. To tak, jak by człowiek dotykał czegoś, co dotychczas istniało tylko w wyobraźni i literaturze.



Świadectwo maturalne

Polszczyzna w spadku

Być może konsekwencją zamieszkiwania na Kresach była potrzeba zachowania własnej kultury, tradycji, obyczajów, a przede wszystkim języka. Od kiedy tylko pamiętam, niezwykłą wagę w mojej rodzinie przywiązywano do zachowania czystości języka ojczystego. Poprawiano mnie, jako małą dziewczynkę, na każdym kroku – zwracano uwagę na poprawność mówienia, styl, akcent, wymowę. W pomorskiej szkole podstawowej, do której uczęszczałam, miałam kłopoty ze zrozumieniem moich kolegów posługujących się dialektem z naleciałościami słów niemieckich, natomiast oni nie rozumieli do końca dbałości, z jaką ja byłam nauczona posługiwać się językiem polskim. Być może w ustach siedmioletniej dziewczynki wychowywanej przez samych dorosłych, język ten brzmiał nieco sztucznie. Z kolei nauczyciele, zwłaszcza poloniści, byli zachwyceni stawiając mnie za wzór i tym samym pozbawiając możliwości nawiązywania więzów koleżeńskich. Całe szczęście, że już w szkole średniej dyktans ten uległ prawie całkowitemu zatarciu.

Znać, poznać, zrozumieć...

Moje babcie oraz rodzice znali bardzo dobrze język rosyjski, zachwycali się literaturą, muzyką, baletem rosyjskim. Zawsze mówiono mi, że pojedynczy Rosjanin to bardzo dobry człowiek – podzieli się ostatnim kawałkiem chleba. Tylko, że gdy są już we dwójkę, to wszystko się zmienia. Jeden boi się drugiego i to właśnie polityka jest czynnikiem konfliktującym oba narody. Uczono mnie w domu języka rosyjskiego, a zwłaszcza przepięknych piosenek – dumek, zwracając uwagę na językowe ciekawostki, bo np. Rosjanie

śpią na krawacie (krovat to po rosyjsku łóżko), a do zupy lub kawy dodają śliwki (slivki to śmietanka), aby było mi łatwiej zapamiętywać poszczególne słowa i wyrażenia.

Miasto mojej Mamy

Drugim kolejnym miastem, które wryło się w moją dziecięcą pamięć, było Głębokie, głównie dlatego, że moja Mama (zmarła w zeszłym roku) uczyła się w gimnazjum im. Unii Lubelskiej w Głębokiem i w roku szkolnym 1938/1939 zdała maturę, jako jedna z 13 maturzystów w swojej klasie.

Mama dojeżdżała do gimnazjum w Głębokiem pociągami z Królewskiej, małej osady położonej parę kilometrów na południe od Głębokiego. Mama bardzo plastycznie opowiadała o szkole położonej na wzgórzu nad jeziorem, którą wybudowano wysiłkiem społecznym. Opowiadała o nauczycielach, którzy dużo wymagali od uczniów, a dzięki wysokiemu poziomowi nauki maturzyści dostawali się na studia głównie na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Wspominała też o kościele Świętej Trójcy, który również było nam dane dokładnie obejrzeć podczas naszej peregrynacji, o ścisłej więzi między kościołem i szkołą, o tym, iż każda prawie szkolna uroczystość rozpoczynała się od mszy świętej. O tym, że z dumą noszono szkolne mundurki. Mówiono często w moim domu rodzinnym o Berezwezu, o tym jak piękny był klasztor Bazylianów (kopia nieistniejącego już w Berezwezu kościoła jest do obejrzenia w Białymstoku). Obecnie stan budynku klasztornego jest opłakany, mieści się tam więzienie i nie wolno nam było ani robić zdjęć, ani podchodzić zbyt blisko.

Trudno to sobie wyobrazić, ale od 1945 r. kiedy moi rodzice jako repatrianci przyjechali do Torunia, nikomu z rodziny nie udało się uzyskać wizy, aby odwiedzić grób mego dziadka Jana. Jest pochowany w Trybuciskach – małej miejscowości na północny-wschód od Głębokiego. Jestem pierwszą osobą w rodzinie, której udało się dotrzeć do Głębokiego po wojnie. Dlaczego Opatrzność mnie pozwoliła odwiedzić ukochane Głębokie mojej Mamy, chociaż to zawsze było jej niespełnionym marzeniem?

Cudne jezioro Narocz

Jedyne wakacje, jakie miała moja Mama w młodości i to zaraz po maturze, spędziła nad jeziorem Narocz. Opo-

Legitymacja studencka





W Katyniu autorka odnalazła tabliczkę z nazwiskiem swego wuja Arkadiusza Kowszyka

wiała, że to największe polskie jezioro. Mogłam się nacznie przekonać, że jest istotnie ogromne i piękne. W rodzinnym albumie można znaleźć ostatnie zrobione przed wybuchem wojny zdjęcie młodej, ślicznej, uśmiechniętej dziewczyny płynącej kajakiem. Kto wówczas mógł przypuszczać, że były to ostatnie beztrioskie wakacje jej życia.

Wkrótce zmarł mój dziadek i mama jako najstarsza z rodzeństwa musiała zacząć pracować na utrzymanie rodziny, która przeniosła się do Wilna. Tam też poznali się moi Rodzice.

Potrójnie ważne miejsce

Ogromne wrażenie zrobił na mnie Katyń. Wiedziałam o Katyniu, Ostaszkowie, Kozielsku i Starobielsku „od zawsze”, tylko przestrzegano mnie – nigdy nie mów o tym w szkole – to nie mówiłam. Aż do czasu, kiedy już po studiach rozpoczęłam pracę zawodową i „zapropozowano” mi przynależność do partii (uwaga młodzi – chodzi o Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą). Wtedy odpowiedziałam, że jako córka więźnia Starobielska absolutnie nie mogę tego zrobić. „Proponujący” mi przynależność poprosił, żebym mu wytłumaczyła, co to takiego ten Starobielsk. O dziwo, chciał się naprawdę dowiedzieć, a mnie to wyjaśnienie zapewniło brak kolejnych „ofert”. Katyń jest dla mnie potrójnie ważny: po pierwsze, jako Polki, po drugie, ze względu na to, że został tam zastrzelony brat mego dziadka Jana kpt. Arkadiusz Kowszyk (znalazłam tabliczkę z Jego nazwiskiem!), po trzecie, ze względu również na to, że cud sprawił, iż nie zginął tam mój tata – Stefan Mogiło.

Tata był więźniem Starobielska. Po klęsce wrześniowej wraz ze swymi kolegami oficerami i podoficerami bydlęcymi wagonami – widzieliśmy podczas pielgrzymki taki wagon w Katyniu – zostali przewiezieni z Wilna do Starobielska. Każdego dnia wywoływano nazwiska kolejnych uwięzionych – domyślali się tylko, że nie oznaczało to powrotu do domu.

Fakt, że mój tata przeżył, jest cudem podawanym w rodzinie, jako kolejny dowód na istnienie Pana Boga. Mama taty modliła się nieustannie w Ostrej Bramie o życie i po-

wrót jedynego syna. Kiedy go zabierano, dała mu na drogę różaniec, który jak nam opowiadał, mimo bardzo wielu rewizji nie został znaleziony, a więc nie odebrano go tacie. Na ten cud złożyły się również dwie przesłanki: Tata był podoficerem (a nie oficerem) i był zameldowany w Wilnie. Na mocy porozumienia pomiędzy Rosjanami i Litwinami – ci ostatni mieli prawo wyreklamować swoich obywateli z niektórych obozów. I tu trzeci aspekt cudu: tata był zawsze obywatelem polskim a nie litewskim i tylko mieszkał z rodzicami i swymi siostrami w Wilnie.

Z Polski do Polski

Jak teraz wspomina, gdy Go wyczytano któregoś dnia w obozie wraz z kilkoma innymi, był przekonany, że oznacza to wyrok śmierci.

Jakież więc było zdumienie tych wyczytanych, kiedy znowu zapakowano ich do bydlęcych wagonów i zaczęli jechać w odwrotnym kierunku. Na tyle jednak nie wierzono ani Rosjanom, ani Litwinom, że tata po powrocie do Wilna najpierw się ukrywał, a jak się tylko dowiedział, że jest możliwość wyjazdu do Polski, to natychmiast cała rodzina obojga moich rodziców skorzystała z tej możliwości. Jakie to w sumie dziwne – przecież na tamtych terenach też była Polska, a więc jechali z jednej Polski do drugiej Polski?

Obecnie Tata ma 92 lata i bardzo żałuje, że nie mógł pojechać wraz z nami na pielgrzymkę do Katynia.

W tym miejscu chciałabym też w imieniu taty, całej mojej rodziny, mego męża i własnym serdecznie podziękować państwu Tokarskim – Małgosi i jej mężowi Romualdowi, za niebywale wspianą prezent, jakim nas i wszystkich uczestników tej wzruszającej pielgrzymki uraczyli, darowując cudowny film, dokumentujący przebieg całej naszej peregrynacji. Jest on u nas oglądany prawie bez przerwy i jeśli udało mi się nie zanudzić czytających, to chciałabym podzielić się kolejnymi swoimi wrażeniami niekoniecznie już dyktowanymi ściśle rodzinnymi względami.

Mirosława Stasiak



Spotkania w Panu – korespondencja własna z Australii

The Secret Millionaire – różne oblicza oczekiwania

W telewizji australijskiej od jakiegoś już czasu pojawiła się seria reportaży zatytułowana „The Secret Millionaire”. Pokazuje ona historie Australijczyków, którzy mimo że odnieśli sukces finansowy w swoim życiu, nie zamknęli się na problemy innych. Program pokazuje ich „incognito” pojawiających się w miejscach, gdzie pomoc jest bardzo potrzebna: Koala są torbaczami z troską ukrywającymi swoje młode przed światem, zanim będą dojrzałe wystarczająco, by wyruszyć w nieznaną



w szpitalach, domach rehabilitacyjnych, noclegowniach dla bezdomnych. Widząc, jak ludzie tam żyją i zmagają się z cierpieniem i biedą, będąc z nimi przez jakiś czas jako wolontariusze, podejmują oni decyzje, kto i kiedy potrzebuje ich pieniędzy najbardziej. Na końcu programu pokazani są, gdy w eleganckim ubraniu wracają do tych miejsc, by przedstawić się, kim faktycznie są i wręczyć czeki pieniężne dla tych, którzy według nich potrzebują wsparcia najbardziej. Wyciskaczami łez są te programy. Ale mają też wiele ciekawych aspektów.

Iluż z nas żyje w pośpiechu, oczekując stania się milionerem jak za czarodziejskim pociągnięciem różdżki? Iluż z nas wpada w otchłań rozpacz poddając się cierpieniu własnemu lub naszych bliskich? Iluż z nas z rozczarowaniem stwierdza, że na koncie nie ma tej sumy pieniędzy, której by oczekiwał? Iluż z nas traci nadzieję, gdy nie wszystko układa się tak, jak o to w desperacji prosimy w modlitwach niesio-

nych do Pana Boga? Jak często traktujemy Pana Boga jako magika, który powinien na naszych oczach sprawić cud, na jaki w danej chwili czekamy?

Dlaczego?

Bo nie lubimy i nie umiemy czekać. Bo szukamy szybkich i łatwych rozwiązań – szybkich ślubów i szybkich rozwodów zamiast szczerego dialogu; zmiany religii zamiast zgłębienia tej, w której wyrosliśmy; oceniamy innych szybciej niż oglądanie swego własnego odbicia w lustrze. Polegając na sobie samych i potykamy się o samych siebie, i nie ma to nic wspólnego z Bożą pedagogiką czekania.

Jezus, którego zwiastuje nam oczekiwanie adwentowe, uczy nas czegoś zupełnie innego: cierpliwości i wiary w Jego przyście wtedy, gdy trzeba i w sposób jaki trzeba. Zamiast niecierpliwego oczekiwania Jego przyścia jako ukrytego milionera powinniśmy skupić się na tych milionach darów, które otrzymujemy od Niego każdego dnia. Każdy poranek, gdy

List z za oceanu – korespondencja własna z USA

Spełnione zadanie

„Rodząc się płaczesz, a świat się raduje. Żyj tak, abyś ty się radował odchodząc, a świat cię oplakiwał.”

(Indiańskie przysłowie)

Edward Kennedy tak właśnie żył. Całą swoją czterdziestosiedmioletnią pracę w amerykańskim senacie służył Bogu, swej ojczyźnie i ludziom, zwłaszcza tym, których los wyrzucał na margines. Całe życie najmłodszego syna multimilionera, brata kongresmenów i prezydenta Stanów Zjednoczonych, upływało pod czujnym, bezlitosnym okiem kamery. Wydawać by się mogło, że wiedzieliśmy o nim prawie wszystko. Kiedy 25 sierpnia 2009 roku odszedł pokonany przez ciężką chorobę, Amerykanie ze zdumieniem poznawali niezwykle ciepłego, pełnego mądrości, empatii człowieka, w życiu którego Bóg zajmował naczelne miejsce, którego siłą w przezwyciężaniu tragedii była niezłomna wiara zakorzeniona w katolickiej, irlandzkiej rodzinie.

Zegnając swego przyjaciela i mentora Barack Obama mówił: „Przez pięć dekad każdy ważny przepis prawa mający na

celu poprawę życia milionów ludzi w Ameryce, był wielką troską senatora Kennedego”. Walczył o równe prawa do głosowania, minimalną płacę, reformę imigracyjną, równość mniejszości, kobiet, niepełnosprawnych, reformę edukacji. Największą troską jego całego życia była reforma służby zdrowia, o którą zabiegał do ostatnich chwil. Współpracując z przeciwnikami ze sceny politycznej w znacznym stopniu przyczynił się do powstania dostępnej opieki medycznej dla dzieci i seniorów. Stawał w obronie praw człowieka na świecie, był jednym z nielicznych przeciwników wojny w Iraku, senackim liderem w pracach na rzecz okiełznania biedy w Afryce i na świecie.

„Jako senator spotykał się z prezydentami, premierami, ale zawsze był dostępny dla ludzi, mieszkańców stanu Massachusetts, swoich wyborców”. Kiedy w atakach 11 września sto siedemdziesiąt siedem rodzin z Massachusetts straciło bliskich, Kennedy osobiście dzwonił do każdej z nich ofiarowując współczucie i pomoc. Potem dzwonił do nich w każdą rocznicę zamachu. Znam osobiście kilka osób, którym biuro senatora pomogło uniknąć deportacji, otoczyło prawną opieką. Jak wielką miłością ludzie w Massachusetts darzyli swego senatora, świadczy fakt, że dziewięciokrotnie wybierali go na swego przedstawiciela.

Kiedy w 1963 roku od kuli zamachowca zginął brat, John F. Kennedy, a w 1968 roku drugi brat, senator Robert Kennedy, najmłodszy, Edward, stał się głową rodziny, ojcem dla



Czy wiecie, że gdy młody kangurek przychodzi na świat, jest wielkości ziarnka ryżu? Musi wspiąć się do góry do torby matki, gdzie spędzi jeszcze prawie 9 miesięcy, zanim będzie gotowy do samodzielnego życia

budzimy się na nowo, jest absolutnym cudem, za który powinniśmy mu dziękować z radością małego dziecka.

Jezus, który przychodzi do nas w każdym czasie Bożego Narodzenia i przyjdzie też do nas na końcu czasów, zaskoczy nas z „niebieskimi czekami” w rękach, ale już teraz, każdego dnia chce nas widzieć szczęśliwymi i otwierać nasze oczy na małe i większe cuda życia. Trzeba nam tylko otworzyć oczy i serca.

Z serdecznymi pozdrowieniami z Antypodów dla wszystkich czytelników Magazynu.

S. Grażyna Rocławska
CSFN



PS. Natura uczy nas cierpliwego czekania. Różne oblicza czekania na zdjęciach z australijskiego świata zwierząt.

Kalendarium parafialne

S M T W T F S

GRUDZIEŃ

- 29 XI – I Niedziela Adwentu
4 XII – Pierwszy Piątek Miesiąca. Adoracja Najświętszego Sakramentu i Koronka od g. 16.00, o 16.30 Msza św. dla dzieci
6 XII – II Niedziela Adwentu
13 XII – III Niedziela Adwentu
20 XII – IV Niedziela Adwentu
24 XII – Czwartek – Wigilia Bożego Narodzenia
25 XII – Piątek – Uroczystość Narodzenia Pańskiego. Msze św. wg porządku niedzielnego
26 XII – Sobota – Święto Św. Szczepana Męczennika
27 XII – Niedziela Świętej Rodziny
31 XII – Czwartek – Zakończenie Roku Pańskiego 2009. Msza Św. dziękczynna za cały rok o g. 18.00

Intencje papieskie na grudzień:

PAPIESKA OGÓLNA: Aby dzieci były szanowane i kochane i nigdy nie stawały się ofiarami rozlicznych form wyzysku.

PAPIESKA MISYJNA: Aby w Boże Narodzenie narody ziemi uznały w Słowie Wcielonym światłość oświecającą każdego człowieka, a kraje otwarły drzwi Chrystusowi – Zbawicielowi świata.

Porządek mszy świętych

Msze św. w dni powszednie o godz. 7.00 i 18.00;
w niedziele i święta o godz. 8.00, 9.30, 11.00, 12.30 i 18.00

Kancelaria Parafialna czynna:
poniedziałki, wtorki, środy, piątki w godz. 9.00–10.00 oraz 16.00–17.30;
w soboty w godz. 9.00–10.00

Biblioteka Parafialna czynna:
w poniedziałki i piątki w godz. 14.00–17.00

wszystkich dzieci, swojej trójki, ale także dzieci swoich braci. Był wesołym, opiekuńczym wujem, dla którego niemożliwe było opuszczenie urodzin któregośkolwiek z dzieci, dla którego wspólne świętowanie w rodzinnym domu na Cape Cod było wielką wartością. Przekazywał im wartości wpojone mu w tym właśnie domu: że wiara, rodzina, miłość do kraju i służba ludziom to najważniejsze drogowskazy w życiu. Jako miłośnik oceanu i żeglowania zaraził wszystkie dzieci Kennedych swoją wielką pasją.

Kiedy jego córka i syn zmagali się z nowotworami, każdy dzień rozpoczynał od modlitwy w swym parafialnym kościele Our Lady of Perpetual Help w Bostonie. Kiedy syn Ted walczył ze słabością po amputacji nogi, Edward Kennedy – kochający ojciec, był przy nim mówiąc, że da radę. Był obok swych przyjaciół, kiedy oni znajdowali się na zakręcie życia. Senator Dodd wspominał, kiedy z daleka w tłumie zobaczył znajomą postać Teda na pogrzebie swego ojca, wiedział, że jak zawsze może liczyć na swego przyjaciela. Kiedy Joe Biden wiele lat temu stracił żonę i córkę w wypadku samochodowym, a jego dwaj synowie walczyli o życie, to senator Kennedy był pierwszy oferując pomoc i wsparcie.

Kiedy sam zmagał się z nowotworem, stawał się coraz słabszy, nie poddawał się, wykorzystywał każdy moment, aby walczyć o dostępność leczenia dla każdego. Słaby fizycznie,

ale mocny wiarą w słuszność sprawy, wygłosił jedno z najlepszych przemówień na Konwencji Demokratów, która wybrała Baracka Obamę na swojego prezydenckiego kandydata. Senator John Kerry, wieloletni kolega i przyjaciel, wspominał: „Ted Kennedy uczył nas, jak walczyć, jak się śmiać, jak traktować drugiego człowieka, jak przekuwać ideały w działanie. Przez ostatnie czternaście miesięcy uczył nas, jak żyć, żeglując pod wiatr po raz ostatni”.

Edward Kennedy nie był zupełnie kryształową postacią, ale człowiekiem z krwi i kości. Za największy błąd – spowodowanie wypadku samochodowego, śmierć współpracownicy i ucieczkę z miejsca wypadku, płacił całe życie, starając się odkupić zło dobrem.

Oglądając uroczystości pogrzebowe senatora Kennedygo nie można było nie odnieść wrażenia, że wszyscy, którzy go znali choć przez chwilę, po prostu nie mogli się z nim rozstać. Odszedł, jak napisał w pożegnalnym liście: do Pana, ufny w Jego miłość, z poczuciem dobrze spełnionego zadania. Odszedł otoczony wielką miłością rodziny i przyjaciół, pozostawiając żal w wielu sercach. Ale także pozostawiając każdemu z nas nadzieję i siłę na żeglowanie przez życie pod wiatr.

Z serdecznymi pozdrowieniami zza oceanu,

Joanna Hozier



Ponte Grande, czyli Wielkim Mostem na spacer do Acquapendente

Festa dei Pugnalonì

Bondzorno – dzień dobry.

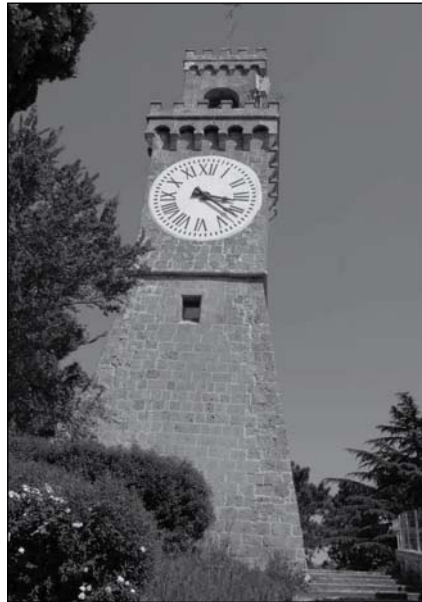
Tu Stefania i Renzo

Zgodnie z zapowiedzią Lidii [MP nr 5 IX 2009 str.12 – 13] witamy WP Czytelników i zapraszamy na kolejny spacer po Acquapendente. Zatem zamknijcie powieki i oczyma wyobraźni Wielkim Mostem przybywajcie ku nam.

Tym z Państwa, którzy nie czytali zapowiedzi naszego cyklu, przypominamy, że Acquapendente to włoska miejscowość i gmina zarazem, położona w malowniczej dolinie regionu Lacjum. Administracyjnie należy do prowincji Viterbo. Wraz z przyległymi dwiema frazioni zamieszkuje ją dokładnie (dane z 2005 roku) 5 787 osób. Jest gminą rolniczo-rzemieślniczą i jak cała Italia – turystyczną. Ma wielkie bogactwo, czyli park krajobrazowy. I niski wskaźnik zaludnienia – 44,5 os./km².

Na początek planowaliśmy całkiem inną wycieczkę, ale zajrzałam na komorowską stronę internetową, co z tęsknoty za Wami (nie ukrywam) robię często, i dowiedziałam się o wielkiej plenerowej imprezie, którą zaplanowaliście na **Dzień 11 Listopada**. To wspaniała inicjatywa mieć coś wspólnego, bo co warta

Na dużych panelach powstają szkice do przyszłych kwietnych obrazów



Po zburzonym zamku Barbarossy została tylko wieża

RODZINA, która raz na jakiś czas nie spotyka się ze sobą z powodu jakiejś ważnej uroczystości. Dlatego namówił Renzo na zmianę „trasy”...

Dziś opowiemy Wam o cudownym wydarzeniu sprzed 800 lat (ze sporym okładem), które nie tylko trwa od stuleci, nie tylko wzbudza wiele dobrych emocji, ale przede wszystkim jednocy acquazian. Opowiemy, choć nie

Dnia 15. maja rusza wielki orszak w renesansowych strojach. Na jego czele niesiona jest figura Matki Boskiej



jesteśmy pewni czy zdołamy opisać tę niezwykłą atmosferę radości bycia wspólnotą, jaka ogarnia mieszkańców Acquapendente w czasie poprzedzającym trzecią niedzielę maja, a potem trwa i trwa...

Marzę o tym, żebyj moją ukochany Komorów, w którym zostawiłam część swego serca, przeżywał jakieś swoje święta z równą radością i z poczuciem, że tworzy wspólnotę, że jej cele, zwycięstwa i porażki są wspólne, dotyczą wszystkich – komorowian. Tych od pokoleń i tych, którzy dopiero się nimi stają...

Wracamy jednak do tematu, który zapowiedzieliśmy...

Święto związane z cudem – „Festa dei Pugnalonì” – jest najważniejszym wydarzeniem lokalnym spośród licznych świąt i uroczystości obchodzonych przez mieszkańców Acquapendente. Nie tylko zresztą przez nich, ale i przez mieszkańców okolicznych i dalszych miejscowości oraz turystów z wielu krajów.

Zacznijmy jednak od tego, co wydarzyło się w roku 1166.

Był to okres krwawych rządów najeźdźcy Fryderyka Barbarossy, w Acquapendente rządził ustanowiony przez niego gubernator. Jak opisuje w „Croniche di Acquapendente” z 1588 roku notariusz Pietro Paolo Biondi – gubernator był heretykiem i tyranizował nie tylko swoich poddanych, ale i podróżnych pielgrzymów udających się i powracających z Rzymu... Ludność pragnęła wyzwolić się spod władzy zniechęconych ciemności. I wtedy zdarzyło się, że, jak czytamy w Kronikach, w majowy dzień 1166 roku dwaj pracujący w winnicy mężczyźni, a było to w pobliżu kaplicy z wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem, rozmawiali, czy możliwe byłoby zbuntować się, doprowadzić do walki i wyzwolić się. Wtedy jeden z owych mężczyzn wskazał na uschnięte od wielu lat drzewo czereśni i powiedział: „To, co mówisz udałoby się, gdyby to suche drzewo zakwitło...” W tym momencie ze zdumieniem zobaczyli, jak drzewo okrywa się kwiatami. Pobiegli z nowiną do miasta. Mieszkańcy przybyli i na widok cudu klękając przysięgali, że jeśli wyzwolą się spod władzy tyra- na, będą dążyć do cnotliwości świętych Kościoła. Zakwitnięcie uschniętego drzewa przyjęli jako znak dany im od



Madonny i gwarancję Jej opieki oraz zachętę do buntu. Jak podają źródła ustne i spisane Kroniki, istotnie zbuntowali się, najechali zamek i zburzyli go, a gubernatora z całą jego rodziną jako więźniów odesłali do Papieża. Odzyskawszy upragnioną wolność przyrzekli, że w każdą rocznicę cudu będą świętować i dziękować Madonnie. Jak świętowali na przestrzeni wieków nie opowiemy, bo to długa historia...

15-go maja rusza procesja z figurą Matki Boskiej z kościoła Santa Vittoria do katedry. Dzieci niosą swoje minipugnaloni (rodzaj chorągwi – obrazu). Zostaje odprawione uroczyste nabożeństwo, a w trzecią niedzielę maja odbywa się wielkie święto, kiedy młodzi mieszkańcy Acquapendente prezentują pugnaloni – ogromne obrazy (2,6 x 3,6 m) wykonane z kwiatów. Ich tematem jest wolność. Walka z każdą formą opresji i ucisku współczesnego świata. Pojawia się też motyw cudu. Kwiat jest w Acquapendente symbolem wolności. Magiczną atmosferą kwiatów, zapachów, kolorów i muzyki oddycha się w tych dniach, gdy całe miasto oczekuje i przygotowuje się do wielkiego święta. Cała społeczność żyje jednym rytmem i dla jednego celu. Młodzież (granica wieku w górę nie jest określona) w grupach liczących 100 i więcej osób tworzy pugnaloni. Na panelach powstają najpierw szkice, malowane przez uzdolnionych malarsko przedstawicieli każdej grupy, a i zawodowych artystów. Na „szkicach” powstaje obraz z płatków kwiatów, części roślin, liści. Jest to bardzo delikatna i żmudna praca.

Już pod koniec kwietnia grupy rozpoczynają zbieranie materiału do swoich prac. Gdy brakuje czasu na poszukiwania w lesie i na łąkach, po prostu



Obraz przedstawiający cudowną Madonnę z Dzieciątkiem

tworzywo „pozyskuje” się w ogrodach sąsiadów i nikomu z mieszkańców Acquapendente nie przychodzi do głowy, aby z tego powodu się gniewać. Ciekawy jest proces tworzenia takich kwiatnych obrazów. Na początek nakleja się bardziej odporne liście, na samym końcu, zwykle w nocy tuż przed świętem, te najdelikatniejsze – płatki kwiatów. Muszą przecież przetrwać nie tracąc barwy i świeżości. Tej ostatniej nocy w całym Acquapendente prawie nikt nie śpi. Starsi mieszkańcy asystują swoim faworytom, dokarmiają, udzielają rad i dodają otuchy. Wzruszające jest widzieć, jak ogromny wpływ na społeczność, na atmosferę wokół panującą, ma wspólny cel jednoczący wszystkich z pokolenia na pokolenie od najmłodszych lat.

Dzieci najpierw tworzą minipugnaloni, w czym pomagają im starsi

przekazując swoje doświadczenia i pomysły. Rankiem tego wielkiego dnia na każdej ulicy ustawiony jest pugnalone, a tłumy mieszkańców i turystów tłoczą się wokół nich, fotografują, komentują... W powietrzu unosi się zapach kwiatów, w tle słychać delikatną muzykę...

Ten nastrój nie opuszcza miasta ani gdy wkracza historyczny orszak w renesansowych strojach, ani kiedy sbandieratori prezentują swoją kunsztowną sztukę. Napięcie sięga zenitu, gdy grupy młodzieży niosą swoje pugnaloni przed sindaco – odpowiednik naszego wójta – ten zaś ogłasza zwycięzców. Nie wiem, z czym można porównać nastrój tych dni. Dla mnie najważniejsze jest to poczucie wspólnoty, radości z przeżywania czegoś ważnego razem. Śmiało można ten nastrój porównać do przeżywania ważnych świąt w kochającej się rodzinie, która obchodzi je co roku, ale za każdym razem doznaje równie silnych uczuć szczęścia i radości. Tak czują się mieszkańcy Acquapendente – jak kochająca się rodzina. Może to brzmi banalnie, ale i mnie – Polce mieszkającej tu zaledwie kilkanaście lat, też to się udziela. Wiercie mi – tak jest naprawdę.

Kochani, wiem od Lidii [Kulczyńskiej-Pilich – przypis redakcji], nawet pokazywała mi zdjęcia, że przed wojną organizowano w Komorowie korsa. Może warto wrócić do zapomnianego zwyczaju. Lokalne, nie importowane, święta bardzo łączą ludzi, bo uczestniczy się w nich z potrzeby serca i tworzy coś samemu. To takie ważne.

Do następnego spaceru
**Stefania
i Renzo
Tarchi**



Ogromne obrazy (2,6m x 3,6 m) o skomplikowanych motywach



Centralny plac z jedną z grup tworzących kwiatnym obrazom



Módlmy się



Przykazanie 10. – „...ani żadnej rzeczy, która jego jest”

„Dziesiąte przykazanie zabrania nieumiarkowanej zachłanności, rodzącej się z pozbawionej miary żądzy bogactw i zawartej w nich potęgi (KKK 2552)”.

To przykazanie zwraca naszą uwagę na intencję serca, nawiązując w ten sposób do przykazania dziewiątego. Streszcza ono wszystkie tzw. przykazania prawa. Źródłem zła, przed jakim one przestrzegają, jest pożydlwość ciała. Niestety dzisiejsze czasy często sprowadzają ją tylko i wyłącznie do pożydlwości w sferze seksualnej. A jak już zdążyliśmy się przekonać, jest to dużo szerszy problem.

Katechizm Kościoła Katolickiego, który jest podstawową wykładnią nauczania Kościoła, poddaje pewien układ sformułowań w tej dziedzinie, pozwalający usystematyzować przedstawiany problem.

1. Nietład pożydlwości – zmysłowe pożądania wywołują w nas pragnienie przyjemności, np. jedzenia, gdy jesteśmy głodni. „Pragnienia te same w sobie są dobre, często jednak nie zachowują rozumnej miary i skłaniają nas do niesłusznego pożądania czegoś, co jest własnością drugiej osoby lub jej się należy (KKK 2535). Dziesiąte przykazanie zakazuje chciwości i pragnienia przywłaszczania sobie bez umiaru dóbr ziemskich ... (KKK 2536)”.

Można powiedzieć, że chciwość w tym pragnieniu wszystko niszczy i powoduje brak „zdrowego” i racjonalnego podejścia. Dlatego warto w podejmowaniu pracy nad sobą zwrócić uwagę na to, co z pozoru jest nieszkodliwe, a w skutkach przynosi wielką krzywdę i zło. Cnota umiarkowania i powściągliwości przydaje się w wielu dziedzinach naszego życia. Pozwala odnaleźć się w świecie pełnym pogoni za pieniądzem i zyskiem. Przeciwstawia się konsumpcyjnemu podejściu do życia i wprowadza ład w naszą codzienność. Czy to znaczy, że pożądanie i pragnienie czegoś, co mają inni, jest złe i grzeszne? Nie!!! Odpowiedź daje Katechizm: „**Nie jest wykroczeniem przeciw temu przykazaniu pragnienie otrzymania rzeczy, które należą do bliźniego, jeśli jest to możliwe w sposób sprawiedliwy (KKK 2537)**”. I tutaj pojawia się kolejne tajemnicze słowo „klucz” – sprawiedliwość. Wyjątkowo potrzebne w naszym życiu społecznym i politycznym.

2. Pragnienia Ducha Świętego – Pragnienie Boga – „*Ekonomia Prawa i Łaski odwraca serce ludzi od zachłanno-*

ści i zazdrości; wprowadza je w pragnienie Najwyższego Dobra, poucza o pragnieniach Ducha Świętego, który napędza serce człowieka (KKK 2541)”. Trudno by było przytoczyć te słowa, gdyby nie doświadczenie spotkania siostr klauzury, które całe swoje życie poświęcają Bogu i wyrzekając się marności świata, doświadczają ogromnego szczęścia. Spoglądając na każdego nas zza krat klauzury widzą współczujący i pełen litości nasz wzrok ze stwierdzeniem „*jakie One są nieszczęśliwe*”. A przecież całe nieszczęście jest po naszej stronie: rywalizacja o miejsce pracy, chęć największego zysku, pogoń za sukcesem i przyjemnością, sława, nieprzemijająca młodość. Czy tego nie można nazwać pożydlwością wszystkiego, co mają inni?! Siostry te doświadczają pragnienia Boga, które jest tak wielkie, iż zajmuje miejsce wszystkich pożydlwości i pragnień ludzkiego życia. Dlaczego Duch Św. ze swoją mocą pragnienia nie może dotknąć Ciebie, przecież otrzymałeś Jego moc przez Chrystusa i Bierzmowanie?

3. Ubóstwo serca – „*Wszyscy chrześcijanie powinni starać się należycie kierować swymi uczuciami, aby korzystanie z rzeczy ziemskich i przywiązanie do bogactw wbrew duchowi ewangelicznego ubóstwa nie przeszkodziło w osiągnięciu doskonałej miłości (KKK 2545; Sobór Watykański II, konst. Lumen gentium, 42)*”. Trudno wyrazić to słowami i pokusić się o szerszą interpretację czegoś, co jest tak oczywiste i proste, że aż niezauważalne przez wielu. Ewangelista Mateusz uczynił to doskonale i treściwie: „**Błogosławieni ubodzy w duchu ... (Mt 5, 3)**”.

Dziesiąte przykazanie żąda od nas wszystkich usunięcia z serca ludzkiego zazdrości, która wiele niszczy, a niczego nie buduje. Św. Augustyn w zazdrości widział grzech diabelski (De catechizandis rudibus, 4, 8). I niestety to wyśmiewane „diabelskie” działanie szerzy się dzisiaj w wielu miejscach, przybierając postać niewinną i kuszącą, a przede wszystkim obróconą w żart – czyli niepoważną i zignorowaną. Dlatego, uwaga, znowu Mateusz Ewangelista: „**Gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje (Mt 6, 21)**”.

A niestety wiele serc ludzkich zamkniętych jest w sejfach banków na całym świecie!

Ks. dr Łukasz Gołębiowski



1 Muzeum Adama Mickiewicza w Nowogrodzku

2 Muzeum Elżbety Orzeszkowej w Grodnie

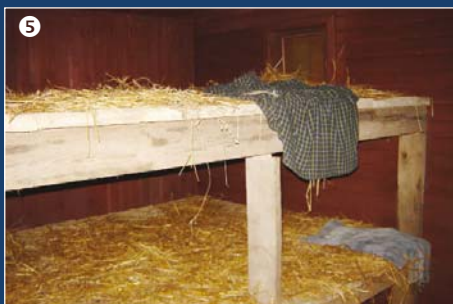
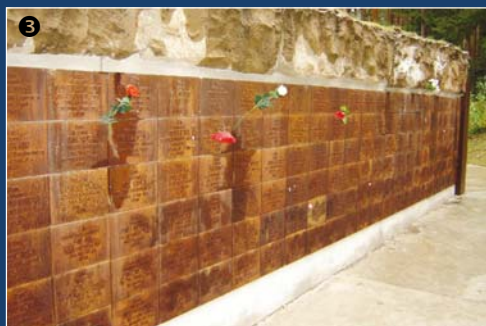
3, 4, 5, 6 Katyni

7 Kuropaty

8 Msza św. w Katyniu

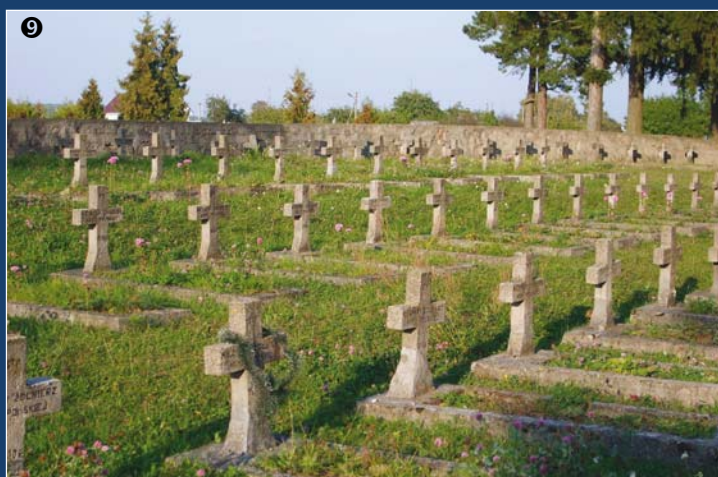
9 Cmentarz z 1918–1920 roku w Wołkowysku

10 Bohatyrowicze – kamień poświęcony powstańcom z 1863 r.



Wspomnienia z Białorusi

fot. ks. A. Perdziński, G. Porębska-Rodak



1 listopada – Uroczysto



śc Wszystkich Świętych

fot. M. Lis, K. Nowosielska



Ja z tobą, ty ze mną

polskie hymny i pieśni legionowe

Śpiewający Komorów

Zeszyt 1

wg wyboru Witolda Błaszczyka

opracowała

Lidia Kulczyńska-Pilich



fot. K. Nowosielska



Śpiewnik legionowy – skąd się wziął i dokąd trafi?

Ja z tobą, ty ze mną

Jest 7 listopada 2009 r. otrzymałem właśnie jeszcze ciepły egzemplarz śpiewnika „Ja z tobą, ty ze mną – polskie hymny i pieśni legionowe”. Śpiewnik adresowany jest do wszystkich komorowian, którzy śpiewaniem chcą włączyć się w obchody uroczystości patriotycznych, szczególnie Święta Niepodległości 11 Listopada. Będziemy z niego korzystać po raz pierwszy podczas imprezy plenerowej Śpiewający Komorów *Ja z tobą, ty ze mną*, zorganizowanej przez K-40, Stowarzyszenie „Kulturalny Komorów” i TPMOK „Komorowanie”. Mam nadzieję, że po tych śpiewankach nie zostanie rzucony gdzieś w kąt, bo szkoda by było. Nie po to został przecież przygotowany.

Mimo, że śpiewnik nie jest zbyt gruby, to wyróżnia się staranną szatą edytorską i graficzną. Jej autor – Andrzej Pilich – przyzwyczaił nas już do dobrego smaku prac, które wychodzą spod jego ręki. Ale nie tylko to stanowi o wartości śpiewnika. Przede wszystkim został on niezwykle misternie wpleciony w historię Komorowa i ludzi z nim związanych. Powstał dzięki pomysłowi komorowianina Andrzeja Jarzyńskiego, syna Franciszka, którego burzliwe losy wystarczyłyby do napisania niejednej książki. Wspomnę tu tylko o tym, że cała rodzina Jarzyńskich została w 1914 r. zesłana na Sybir. Franciszek brał udział w Rewolucji lutowej 1916 roku w Rosji. Następnie dostał się do kraju. Walczył jako wachmistrz w 11 Pułku Ułanów w wojnie 1920 r., za co został odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami. We wrześniu 1939 roku bronił Warszawy. Podczas okupacji działał w konspiracji, walczył w Powstaniu Warszawskim. Za swój wkład w Powstanie został odznaczony Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari, a pośmiertnie przyznano mu Warszawski Krzyż Powstańczy. Zapewne niejedną raz miał okazję śpiewać żołnierskie pieśni. Jego synowi, Andrzejowi, od lat marzyło się wspólne śpiewanie pieśni patriotycznych, podobnie jak to się dzieje w Krakowie. Podał tę myśl na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Miasta Ogrodu Komorów. Czemu więc by nie spróbować? – spytała Lidia Kulczyńska-Pilich i zaraz, jak to ona, ostro wzięła się do roboty.

Poprosiła Witolda Błaszczuka, aby tak dobrał pieśni, żeby nie było ich zbyt wiele, nie były nudne, lecz żeby oddawały ducha narodowego. Witold Błaszczuk to nie tylko świetny muzyk i pedagog, ale też wnuk Artura Spitzbartha, który był żołnierzem I Kadrowej, uczestnikiem wojny polsko-sowieckiej 1920, więźniem Starobielska i który został zamordowany przez Sowietów w Liesoparku koło Charkowa. Tradycje patriotyczne Witold Błaszczuk wyssał więc z mlekiem matki, nieustannie też się nimi dzieli.

Czym ten śpiewnik się różni od wielu innych dostępnych na rynku? Przede wszystkim tym, że wypływa z potrzeby serca naszych szlachetnych komorowian. Jest wtopiony w nasze miejsce – Komorów, naszą przyrodę – Dąb Niepodległości i naszą tradycję – dzieje przodków. Znaj-



fot. K. Nowosielska

dziemy w nim pieśni hymniczne takie jak: *Gaude Mater Polonia*, *Chorał Z dymem pożarów*, a nawet współczesny *Żeby Polska była Polską*. Druga część obejmuje pieśni legionowe, te najpopularniejsze, jak: *Święta miłości kochanej Ojczyzny*, *Pierwsza Brygada*, *Wojenka*, *Przybyli ułani pod okienko*, *Białe róże*, ale też i mniej znane *Pierwsza Kadrowa*, *Pieśń o wodzu miłym*, czy *Marsz, marsz Polonia*. Część trzecia zawiera krótkie, ale ciekawe noty przygotowane przez Lidię Kulczyńską-Pilich, z których dowiadujemy się, jaki to kawał historii Polski zawarty jest w tych pieśniach. Okazuje się, że nazwa Polonia określająca Polaków na emigracji ma rodowód właśnie w jednej z tych piosenek.

Całość została opatrzona nastrojowymi i symbolicznymi rysunkami Andrzeja Pilicha, a także zdjęciami pamiątek, dokumentujących aktywny udział przodków komorowian w walce o niepodległość. Łączą one miejsce, czas i temat.

Na koniec jeszcze osobista dygresja. Za zorganizowanie manifestacji w dniu 11 listopada 1939 r. drużyna harcerska z nieodległej Zielonki zapłaciła życiem. Śpiewnik ten oraz nasze wspólne śpiewanie mają pobudzać ducha patriotyzmu w nas. Pewnie w swym założeniu mają służyć przekazaniu pałeczki młodemu pokoleniu. Bardzo jestem ciekaw, czy młodzież, która prawie nie wyjmuje słuchawek z uszu, zainteresuje się tymi śpiewankami. Czy te zaledwie 90 lat nie okażą się zbyt odległe? Być może nie w czasie, a w światopoglądzie? Wszak perspektywa 90-ciu lat, to tak jak dla mnie, kiedy byłem dzieckiem, Powstanie Styczniowe. To były czasy abstrakcyjnej wręcz historii. Z drugiej strony nasze dzieciństwo przesiąknięte było II wojną światową. Są okresy żywiej odbierane przez młodzież i te bardziej obojętne. Dla mnie zawsze Powstanie Listopadowe było ciekawsze niż Styczniowe, II wojna niż I, a już Powstanie Warszawskie przenikało mnie do żywego. Zauważam, że i teraz młodzi ludzie interesują się Powstaniem Warszawskim. Muzeum PW jest chętnie odwiedzane. Formuła prezentacji historii tam zastosowana, okazała się atrakcyjna. Czy nam w Komorowie też się uda? Czy nie będzie zbyt monumentalnie i pompacyjnie, w końcu nudno? Temat nie tak nośny, zadanie więc trudne. Wiem, że jeśli dzieciaki przyjdą i zechcą śpiewać, to się wkręcą. Mam nadzieję, że tak się stanie 11 listopada 2009 r. o godz. 15.00 w Komorowie pod Dębem Niepodległości na placu Paderewskiego. Życzę tego organizatorom z całego serca.

Lech Skupiński



W poprzednim numerze Magazynu Parafialnego zaprezentowaliśmy kilka eksponatów, które zbieraliśmy z myślą o organizacji drugiej wystawy o nazwie: „NIEPODLEGŁOŚĆ – Historia z szuflady wyjęta”. W ten sposób chcieliśmy uczcić 70 rocznicę wybuchu II wojny światowej. Ale odzew z Państwa strony był „umiarkowany”. Niestety, zbyt mało osób otworzyło stare albumy, szuflady szaf i wieka kufrów. Dlatego uznaliśmy, że włożony wysiłek nie przyniesie oczekiwanego efektu wystawienniczego. Jednak dusza tropicieli historii naszej miejscowej nie pozwalała nam przejść obojętnie wobec tego, co do naszych rąk dotarło. Proponujemy więc wystawę na raty, w odcinkach, na łamach pisma. Będziecie Państwo wprawdzie „oglądać” eksponaty płaskie w jednym wymiarze, ale wzbogacone bardzo szczegółową opowieścią o dzielnych chwatach, co na żołnierski poszli szlak... Rozpoczyna pani Małgorzata Bońkowska-Szaraniec opowiadaniem o swoim dziadku. Popatrzmy i „posłuchajmy”...

Pożółkle fotografie – zapis niezwykłych wojennych dziejów

Oto „Chłopcy z tamtych lat”...

Bliski, ale nieznan

Chorąży lotnictwa Wacław Serwiński to mój dziadek, ojciec mej mamy Aleksandry. Był ze mną od pierwszych chwil mego życia, aż do ostatnich chwil swego życia w roku 1965. Zapamiętałam go jako człowieka niezwykle pogodnego, troskliwego i kochającego rodzinę, powszechnie lubianego i szanowanego.

Dziadek niewiele opowiadał o swym życiu, o rodzinie. Rolę rodzinną gawędziarki pełniła babcia Stefania. Od niej dowiedziałam się, jak się poznali a także, jak przenieśli się do Krakowa, gdy Wacław dostał powołanie do Wojska Polskiego. Zawsze używała zwrotu „Wojsko Polskie”. Dziadek został przydzielony do warsztatów 2. Krakowskiego Pułku Lotnictwa. Babcia z sentymentem wspominała wojskowe defilady i parady, na które czekali, opowiadała o kwiatach, chorągiewkach i wiwatach na cześć marszałka Piłsudskiego. Ale dziadek nie lubił defilad –



2. Krakowski Pułk Lotniczy. Sierż. Wacław Serwiński w trzecim rzędzie od dołu, siódmy od prawej. Ok. 1930 roku

„to była męka, ciągle myliłem krok”, mówił. Babcia barwnie opowiadała także o życiu w 2. Pułku: o wigiliach, jasełkach, wyjazdach do Krosna, Lwowa i Warszawy, gdzie Wacław odbywał szkolenia zawodowe. Anegdoty o Wacusio-wych kanarkach, którym wiał gniazdka z

waty, śmieszyły nas wszystkich. Bo dziadek kochał zwierzęta.

Pamiętam dziadka podśpiewującego „w Saskim Ogrodzie...” i babcię grożącą palcem. Zalecała piosenki o grzecznych krasnoludkach, które dużo jadły i piły mleko.

W mieszkaniu w Krakowie (nowy blok podoficerski).
I Komunia św. Marii starszej córki. Rok 1936



Pożegnanie przed wyjazdem na lotnisko polowe, sierpień 1939.
Od lewej córka Maria, żona Stefania, Wacław, córka Aleksandra





Widziałam dziadka rozżłoszczonego. Gradacja używanych przezeń przekleństw przedstawiała się następująco: psiakrew, psiamać, a gdy się słyszało „kozi syn”, o to już było całkiem źle.

Służba w 2. Pułku w Krakowie, to najszcześniejsze lata życia mych dziadków.

Wielokroć wspólnie oglądaliśmy rodzinny album, a właściwie album historii 2. Krakowskiego Pułku Lotnictwa. Dziadkowi błyszczały oczy: „to nasze pierwsze samoloty, to „brandenburgi”, to poaustriackie „albatrosy”. To nasze polskie najnowocześniejsze, to „karasie”, to „łos”, to nasze pułkowe warsztaty, to nasze nowe bloki podoficerskie – tu mieszkaliśmy, a to koledzy z warsztatów, to dowództwo Pułku”. Kochał wojsko.

Dalsze stronicy albumu to już wojna. Dziadek kontynuował:

„A tu pod palmą w Bejrucie – tu dostaliśmy się z Rumunii”. „Do Rumunii uciekaliśmy po 17 września. Jechaliśmy ciężarówkami i innymi wozami wojskowymi. Wiedząc o rozbrajaniu polskich oddziałów część broni krótkiej ukryliśmy w zapasowych kołach samochodowych. Rumuni najpierw rozkazali nam oddać broń osobistą, a potem wypatroszyli wszystkie pojazdy. I zostaliśmy bezbronni...”. Żołnierze bez broni...

Dalej to dokumenty z 1/145 Dywizjonu Myśliwskiego „warszawskiego” we Francji.

Zdjęcie przed naborem do 304 DB. Widoczne medale: od lewej Brązowy Krzyż Zasługi nad. w 1938 r., polskie odznaczenie cywilne



ARMÉE DE L'AIR N°4535	
UNITÉS D'AVIATION POLONAISE — POLSKIE JEDNOSTKI LOTNICZE	
	Nom : SERWINSKI
	Nazwisko
	Prénoms : WACŁAW
	Imiona
	Grade : adjudant
	Stapien
	Né le 22 II 1897 à Chylin (Pologne)
	Ur. dn.
	Résident à Bron (Rhône)
	Zamiesz. w.
Profession : mécanicien d'avion	
Zawod	
Fils de Władysław et de Anna Duch	
Syn	
Domiciles à Dominoz Hoy (Pologne)	
Zamiesz. w.	
Situation de famille : Célibataire, Veuf, Marié.	
Stan	
Nombre d'enfants : deux	
Ilość dzieci	
Taille : 1 mètre 69 centimètres	
Wzrost : 1 metr centymetrów	
Marques particulières : Meduse droit écrasé	
Znaki szczególne	
Fait à Bron , le 9 avril 1940	
Wystawiona, w : dn :	
EMPREINTES DIGITALES Odcisk Palców Index gauche - Index droit Palec wskazujący Lewy - Prawy SIGNATURE DU TITULAIRE : Podpis właściciela dowodu Serwinski	
ATTESTATION DE L'OFFICIER SUPÉRIEUR POLONAIS DÉLÉGUÉ Zaswiadczenie starszego polskiego oficera delegowanego : Serwinski	
LE COLONEL COMMANDANT DU DÉPOT D'INSTRUCTION DE L'AVIATION POLONAISE : Pułkownik dowódca centrum wyszkolenia lotnictwa polskiego : Cintug	

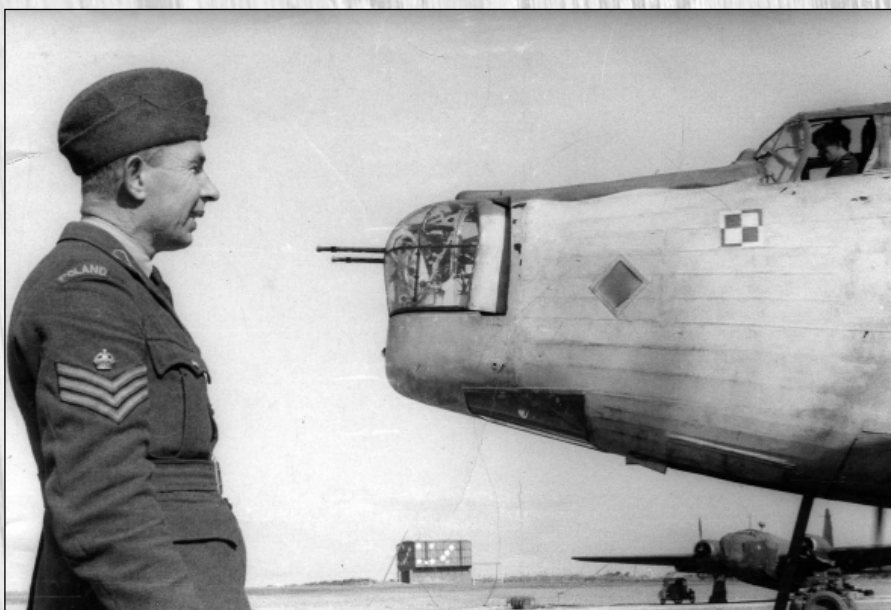
Francja 1940, służba w 1/145 Dywizjonie Myśliwskim „Warszawskim” (tzw. dywizjon fiński) – książeczka wojskowa

A to już w Anglii, w 304 Dywizjonie Bombowym. To dowództwo, a tu koledzy odbierają sztandar, to wizyta króla Jerzego w naszym dywizjonie, to zdjęcie z podziękowaniem dla dywizjonu od gen. Sikorskiego, to gen. Sikorski i król Jerzy IV z wizytą u nas, to lotnicy z dywizjonu – wrócili szczęśliwie, tamtych zestrzelono nad Niemcami, ci zginęli nad Atlantykiem. Tu siedzimy na torpedzie, a to baza Benbecula na Hebrydach „oj, jak tam było zimno”, to lotnisko w Walii, a to „mój” wellington. Słynny NZ-E836 „ELA”. Wspominał, w jakim napięciu oczekiwali na spóźnione powroty samolotów: „i wtedy człowiek przypominał sobie, czy na pewno dojrzał wszystkiego przed startem. I myśli, że czasami taki mały drucik nie mający żadnego znaczenia, ale może, to może on zawinił...”. Dziś wiem, że to nie kwestia długości owego drucika,

to odpowiedzialność za czyjeś życie, za życie kolegów.

Pod palmą w Bejrucie po ucieczce z Rumunii XII 1939, Wacław pierwszy od prawej z papierosem w ręku





Dziadek Waław i „jego” wellington. To moje ulubione zdjęcie. Można powiedzieć – ONI nos w nos...

A potem gorycz: tu pracuję jako magazynier w GS. I lata 60. Walka środowiska o renty, emerytury dla lotników – seniorów.

Taki był mój dziadek Waław.

Jeszcze bliższy, bo poznany

Gdy postanowiłam dokładnie opisać przebieg służby wojskowej dziadka najpierw w 2. Pułku Lotniczym, potem w 304 DB, udało mi się nawiązać kontakt z wieloma miłośnikami polskiego lotnictwa. Biogram Waława, autorstwa p. Wojciecha Zmyślonego, ukazał się na www.polishairforce.pl. To był wyraz hołdu dla polskich mechaników.

Zgromadziłam wiele dokumentów archiwalnych. Poznałam mego dziadka Waława po raz drugi. Jako żołnierza Wojska Polskiego i żołnierza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Z dokumentów dowiadywałam się o historii lotnictwa polskiego, tradycji i historii 2. Pułku, wyszukiwałam nazwiska dowódców, rysunki ówczesnych samolotów, które obsługiwał mój dziadek, poznałam system szkolenia zawodowego. Dowiedziałam się, jak kolejno awansował do stopnia st. majstra wojskowego czyli st. sierżanta, jakie otrzymał medale i odznaczenia aż do Brązowego Krzyża Zasługi w roku 1938.

Odpoczynek na torpedzie. Waław siedzi drugi od lewej; potrójne krokiewki na rękawie to ang. stopień f/sgt



Z dokumentów poznawałam tworzenie się PSZ na Zachodzie, biogramy naczelnych wodzów, walki naszych dywizjonów pod angielskim niebem, dokładny przebieg służby dziadka w latach 1939–1946 we Francji i W. Brytanii. Był w angielskim stopniu Flight Sergeant, został wpisany na honorową listę MID, odznaczony Medalem Lotniczym. Do Polski wrócił jako chorąży lotnictwa w roku 1946.

Umieszczałam mojego dziadka w historii II wojny światowej.

Poznałam tragiczne losy polskich żołnierzy–tułaczy. Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Słynne wypowiedzi Churchilla. Gorzkie powroty do kraju po 7 latach służby w Wojsku Polskim, ale służby na obczyźnie. Nie wracali w glorii chwały. Pełni obaw schodzili na ląd w Gdańsku, stęsknieni za rodzinami, za Ojczyzną Ziemią, jednak z nadzieją, choć nie całkiem pewni jutra. Z Kraju dochodziły różne wieści.

Jako nastolatka szukałam wojennych bohaterów w książkach. Wielokrotnie czytałam wszystkie książki Arkadego Fiedlera, wspomnienia Janusza Meissnera. Czytałam książki Kisielewskiego, Jonkiela, Króla.

Szukałam wojennych bohaterów w książkach. A przecież mój dziadek uczestniczył w tych wszystkich wydarzeniach. ON WSZĘDZIE TAM BYŁ !

Małgorzata Bońkowska-Szaraniec



I tak Bóg stworzył świat..., czyli okiem geologa

Na co wejdiesz Zacheuszu?

Felieton miał być o komorowskich obchodach Święta Niepodległości, o wspólnym śpiewaniu, o Dębie Wolności na Placu Paderewskiego. Ale tego dnia rozpadało się tak poważnie, że wielu mieszkańców wołało zostać w domowych pieleszach, niżli wystać te dwie godziny pod parasolem. Impreza była udana i mam nadzieję, że ci, którzy patriotycznie nucąc wracali w przemoczonych butach, nie dołączyli dziś do grypowiczów. Na placu został dąb. Mokry, ociekający deszczem, już niemal bezlistny, a lekko odziany w dekorację – niepodległościowe daty z naszej, polskiej historii. Ale to drzewo nadal stoi, a inne?

Wróciwszy po kilku dniach nieobecności do Komorowa szedłem z walizką od stacji WKD i z narastającym zdumieniem obserwowałem kolejne gładko ucięte przy ziemi pnie usuniętych drzew. Tu były brzozy, tam chyba klon lub jesion – próbowałem sobie przypomnieć, wyciągając z pamięci dodatkowo sprawę niedawnej wycinki przy ul. Wiejskiej, gdzie drzew chyba nie zauważył projektant domu i „nagle” kolidowały z wjazdem na posesję. Mijamy/mijaliśmy te drzewa codziennie nie zdając sobie czasem sprawy jak bardzo są nam potrzebne. A teraz ktoś zdecydował. Czy radził się mieszkańców? Czy skonsultował swoje działania z Radą Osiedla, z radnymi? Dowiaduję się, że nie. Przy ul. Chopina pod siekierę poszły stare jabłonie. Już nic nie były warte? Nie dawały dostatecznie pięknych jabłek i cienia latem czy za bardzo wadziły w ułożeniu nawierzchni na tej ślepej uliczce (według planu zagospodarowania)? Czy drogowcy wtargną też na Plac Paderewskiego i na drodze stanie im Dąb Wolności? Głos osób aktywnie broniących drzewostanu w Komorowie staje się głosem wołających na puszczy. O, ironio !! Jakiej puszczy? Przecież tu wkrótce zostaną tylko domy, garaże i płatanina kabli na słupach!

Dokładnie obejrzałem pniaki po ściętych brzozach, które rosły na początku ulicy Matejki od ul. 3 Maja, w pobliżu torów WKD. Co komu przeszkadzały? Pamiętam, że były zdrowe. No cóż, teraz jesień, niektóre gatunki drzew nie mają już liści. Ktoś pomyślał, że są martwe, suche. Pomyślał i zrobił, co zrobił. Gmina nazywa to rekultywacją odcinka drogi między ul. Bankową a ul. 3 Maja. A od kiedy to tak należy rozumieć agrotechniczne przeciwieństwo „rekultywacja”? Osiedlowe uliczki mogą się wic między pniami drzew, zaś wyprostowane staną się torem popisów motocyklowych. Za chwilę ktoś podsunie racjonalizatorski pomysł – no to zrobmy na asfalcie muldy, a obok muld wbetonujemy słupki. Ale żelazne słupki się nie zazielenią, jak niegdyś wierzbowe kółki ogradzające mazowieckie pastwiska.

Byłem już blisko kościoła. Przypomniała mi się przypowieść o Zacheuszu. Był to człowiek mały. Mały ciałem, ale i duchem. Nie był lubiany. Jednak i on chciał kiedyś zobaczyć przechodzącego, tego słynnego Jezusa. Aby nie tłoczyć się wśród mieszkańców Jerycha i nie ujawniać swej

ciekawości, sprytnie wspiał się na przydrożne drzewo – sykmore i stamtąd obserwował, kiedy nadejdzie Chrystus. Jezus niespodziewanie przystanął, podszedł do zdziczałej figi, spojrzał ku górze i powiedział do kompletnie zaskoczonego człowieka: „Zacheuszu, zejść prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu”. I tego dnia ten grzeszny, pogardzany przez innych człowiek, goszcząc u siebie Jezusa Chrystusa, całkowicie przeobraził się duchowo. Postanowił wspomóc biedniejszych, a skrzywdzonym przez siebie wielokrotnie zadośćuczynić. Syn Boży potwierdził nawet swój zbawienny zamysł, by ludzie zrozumieli, że przyszedł na ziemię w celu odnalezienia zagubionych.



Na co zatem wespną się komorowscy Zacheusze, gdy już zabraknie drzew przy drogach? Czy zamiast starych jabłoni wyczarujemy biblijne sykmore? A figa ! Tak się nie stanie, bo żadne działania mieszkańców i ich przedstawicieli nie są w stanie powstrzymać twórczego szalu inżynierów drogowych. Główny pomnik ich ostatniej batalii z przyrodą i starym układem urbanistycznym miasta ogrodu – rondo u zbiegu al. Marii Dąbrowskiej i al. Starych Lip codziennie jest „poszerzane” przez kolejne ciężarówki. Koła naczep wiele razy wryły się w trawnik, wgniotły krawężniki w ziemię i wygięły znaki. Zamiejskowe gapy, a i miejscowi desperaci także, jeżdżą na wprost z al. Kasztanowej w al. Starych Lip, jedynie omiatając wzrokiem omijane rondo i zgrabnie dodając gazu, by niepotrzebnie „nie stwarzać zagrożenia dla ruchu”.

Znam przypadek, gdy w Czechach nieco zmieniono przebieg autostrady, bo na przeszkodzie drogowcom wyrósł nagle 200-letni dąb. Dostosowano się bynajmniej nie z pobudek ekologicznych. Ekspert wyliczył, że za wycięcie tego drzewa, które w świetnej kondycji jeszcze ze 200–300 lat będzie produkować masowo tlen, należałoby zapłacić tyle, ile ten tlen będzie kosztował w handlu, sprzedawany np. w butli z tlenem. Zrezygnowali i nadal majestatyczny dąb cieszy oko. Gdy zajdzie potrzeba, tamtejszy Zacheusz będzie mógł się nań wdrapać.

Wojciech Irmiński



Spóźnione „Święto Mieszkańców Komorowa”

Jesienny spacer w przeszłość

„Święto Mieszkańców Komorowa”, zorganizowane po raz drugi przez Zarząd Osiedla Komorów – Granica, odbyło się tym razem w jesiennym aury. Planowane na początek września, decyzją władz Gminy Michałowice zostało przesunięte na 17 października, podobno z uwagi na przedterminowe wybory wójta, które odbyły się 13 września. Z konieczności program został ograniczony niemal wyłącznie do kilku punktów estradowych pod gościnnym dachem Komorowskiej Szkoły. A szkoda, bo w miejscowości takiej jak Komorów, według przedwojennych ustaleń mającej być miastem ogrodem, tego rodzaju impreza powinna odbywać się w plenerze, jak to miało miejsce w roku ubiegłym.

Pan Zdzisław Zawadzki z mikrofonem opowiada o kapitanie Stanisławie Doruchowskim

Plenerowy charakter miał jedynie, zorganizowany przez świeżo zawiązane Towarzystwo Przyjaciół Miasta Ogrodu Komorów „Komorowanie”, spacer po najstarszej części willowego Komorowa ze Zdzisławem Zawadzkiem, który zamieszkał w Komorowie jako dziecko w drugiej połowie lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Pan Zawadzki zabrał nas na przechadzkę po Komorowie, jaki zachował w swej pamięci.

Grupa, która wyruszyła ulicą Leśną spod Szkoły, stopniowo powiększała się o mieszkańców domów, obok których przechodziliśmy. Co starsi spacerowicze wnosili dodatkowe informacje do wspomnień snutych przez naszego przewodnika. Gdy sta-

nęliśmy nad torami kolejki, pan Kowalski przypomniał, na przykład, że „serek” po drugiej stronie wykopu był nie tylko rodzajem stadionu sportowego, ale że była tam też w latach powojennych drewniana estrada, tak zwane „dechy”. Komorowanie przychodzili tam na tańce.

Najstarsza część Komorowa willowego, ku której zmierzaliśmy, rozciąga się po drugiej stronie torów WKD, wzdłuż ulicy Brzozowej. Pierwsze parcelacje dóbr komorowskich miały miejsce pod koniec XIX w., poczynając od granicy z Helenowem (ul. Komorowska). Już wówczas szumiały tam kilkudziesięcioletnie sosny, wśród których powstała w 1903 r., najbardziej wysunięta w tym kierunku, siedziba rodziny Brzozowskich, mieszkających tam do dziś. Pochodzące z tamtego okresu stare domy w głębi dużych ogrodów po południowej stronie ulicy Brzozowej są widoczne dla przechodnia tylko w okresie jesienno-zimowym. Przez pozostałą część roku skrywa je bujna zieleń. Zaczynają je także przysłaniać nowe domy, budowane na podzielonych działkach tuż przy ulicy.

Obszar rozciągający się na północ od ulicy Brzozowej, między ulicą Kolejową i Komorowską, został rozparcelowany w połowie lat dwudziestych XX w. Wytyczono trzy równoległe ulice o botanicznych nazwach – Klonowa, Lipowa i Akacjowa – pochodzących od drzew, którymi je wysadzono. Na dużych działkach – minimum 2500 m² – wille w stylu dworskim zbudowali w większości nauczyciele lub dyrektorzy warszawskich szkół ponadpodstawowych, członkowie spółdzielni „Strzecha Polska”.

Z Brzozowej grupa spacerujących skręciła w Klonową, obok willi „Lola”, należącej pierwotnie do rodziny Doruchowskich. Kapitan Stanisław Doruchowski, którego Zdzisław Zawadzki dobrze znał, był adiutantem Komendanta AK. Oddał życie za ojczyznę w 1944 r.



Dom Tadeusza Wendy – budowniczego portu w Gdyni





Rozmowa z wnukiem Tadeusza Wendy

W połowie ulicy Klonowej spacerowicze spotkali się z wnukiem inż. Tadeusza Wendy, który opowiedział o sławnym dziadku, budowniczym portu gdyńskiego w latach dwudziestych, i o ich domu pod nr 16.

Przy końcu ulicy zostaliśmy zaproszeni przez pana Kowalskiego do jego ogrodu pod nr 21 i poczęstowani świeżymi winogronami. W ten sposób, wspominając dawnych sąsiadów, grupa spacerowa dotarła do „zeberka”, czyli ulicy Żwirowej, wzdłuż której biegnie tor łączący kolejkę WKD z linią kolejową w Pruszkowie. Tędy dowożono materiały do budowy kolejki EKD w 1927 r., tędy też Niemcy wozili amunicję w 1944 r., a po wojnie dostarczano węgiel, którym opalane były komorowskie domy. Połączenie to jest nadal wykorzystywane przez WKD.

Spacer zakończył się na ulicy Lipowej pod nr 4, w nastrojowej scenerii ogrodu rodziny Mrozowskich. O historii domu i o jego mieszkańcach opowiadał Piotr Mrozowski. Jest on prawnikiem Eugeniusza Sopoćko, jednego z inicjatorów powołania spółdzielni mieszkaniowej „Strzecha Polska”, dyrektora Gimnazjum i Liceum im. T. Czackiego w Warszawie w latach 1927–1950.

Wspólnie spędzone dwie godziny umożliwiły rozmowę z sąsiadami, często znanymi tylko z widzenia, i przywołanie fragmentów historii Komorowa, tworzonej przez ludzi, których domy mijamy co dzień.

Leszek Kołodziejczyk
Zdjęcia **Bartosz Duczmal**



Czar komorowskich drzew

Klony i kasztanowce

Trudno wyobrazić sobie jesień bez złocistych i purpurowych liści. Większość drzew liściastych jesienią traci soczystą zielen. Ale spośród wszystkich drzew najpiękniej jesienią wyglądają klony. Chmury żółtych liści, jak olbrzymie latarnie, rozświetlają w szare, jesienne dni wiele komorowskich ulic – Kraszewskiego, Sportową, Klonową (która swoją nazwę zawdzięcza posadzoną wzdłuż niej drzewom). Jeśli jesienna pogoda sprzyja, liście klonów przybierają nie tylko kolor złoty, ale mienią się odcieniami pomarańczy i purpury. Najpopularniejsze w Komorowie są dwa gatunki klonów: klon zwyczajny (*Acer platanoides*) oraz klon jawor, nazywany zwyczajowo jaworem (*Acer pseudoplatanus*).

Klony, dzięki pięknemu, regularnemu kształtowi koron oraz gęstemu ulistnieniu, są drzewami bardzo dekoracyjnymi ale także bardzo wrażliwymi, szczególnie na zasolenie gleby. Warto pamiętać, że używanie soli podczas zimowego odśnieżania bardzo szkodzi tym pięknym drzewom. Kiedy podczas jesiennych spacerów zbieramy klonowe liście, zdarza się nam znaleźć na nich szpecące czarne plamy – świadczą one o obecności grzyba czerniaka klonowego (*Rhytisma acerinum*) atakującego szczególnie osłabione drzewa.

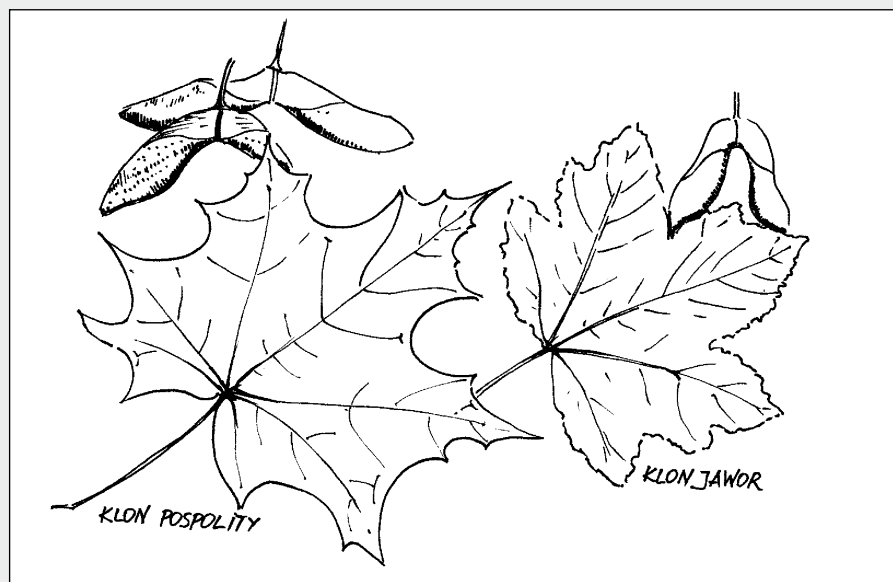
Poza estetycznymi walorami, klony posiadają także i użytkowe – ich twarde drewno wykorzystywane było w lutnictwie i meblarstwie. Drewno klonowe, według rzymskiego gramatyka Serwiusza, zostało także użyte do budowy konia trojańskiego!

Być może z tego powodu uważano, że klony przynoszą nieszczęście, a przesąd ten przetrwał całe tysiąclecia.

Obecnie wykonuje się jeszcze z niego blaty i stoły kuchenne, ponieważ drewno klonowe nie wydziela przenikającego do potraw zapachu i łatwo się czyści.

W Anglii używano liści klonowych do wyścielania foremek, w których pieczono wielkanocne lub dożynkowe ciasta, aby na wypiekach odcisnęła się charakterystyczna, dekoracyjna struktura liści. Zresztą jaworowe liście dodawano wiosną do sałatek i innych dań, nie wspominając o tym, że stanowiły one paszę dla bydła.

W Kanadzie bardzo popularny jest syrop klonowy. Nie pozyskuje się go jednak ani z klonów jaworów, ani z klonów zwyczajnych, lecz z klonów cukrowych. Klony cukrowe są u nas nieco mniej popularne, za to ich liście uwiecznione w godle i na flagie Kanady są symbolem tego państwa. Ale powróćmy do komorowskich drzew...



rys. M. Lewin



Klony przy ul. Sportowej

Obok złotych klonów charakterystycznymi dla naszej jesieni drzewami są kasztanowce. Co prawda, ich liście nie są aż tak dekoracyjne jak klonowe, ponieważ ich brzegi szybko brązowieją i brunatnieją oraz szybko się zwijają, ale za to ich nasiona... duże, brązowe, z pięknym połyskiem i wyrazistym rysunkiem słoików na powierzchni upodabniającym je do poli-

tuowanego drewna...cudo! Kasztany zaczynają spadać z drzew we wrześniu i kiedy tylko pojawią się na ziemi, nie sposób przejść obok nich obojętnie i to niezależnie od wieku. Choć oczywiście z największym zapałem zbierają je dzieci. W żadnym wypadku nie należy się wstydzić swojej słabości do lśniących kasztanów. Prawdopodobnie noszone w kieszeniach

łagodzą bóle stawów i mięśni pochodzenia gośćcowego. W tradycyjnej medycynie ludowej nasiona kasztanowca stosowano w leczeniu zatorów żylnych, bólów nóg, obrzęków. Także współczesna farmakologia wykorzystuje substancje chemiczne zawarte w kasztanach do produkcji maści, kremów i leków stosowanych w leczeniu zylaków, hemoroidów.

Aleja Kasztanowa



Kasztanowce przy ul. Krasińskiego



Ale uwaga – owoce kasztanowca zawierają escynę, która w stanie surowym jest trująca! Należy o tym pamiętać zwłaszcza, jeśli dajemy kasztany do zabawy dzieciom. Co prawda podczas wojny gorzkiej mączki z kasztanów używano jako substytutu kawy, ale przed mieleniem kasztany prażono.

Wiem, że kiedy ten artykuł ukaże się w Magazynie Parafialnym, złote klonowe liście i błyszczące kasztany będą już tylko wspomnieniami. Ale może właśnie te barwne wspomnienia pomogą przetrwać najciemniejsze dni, w roku kalendarzowym jesienne dni, czas oczekiwania na Boże Narodzenie.

tekst i zdjęcia
Marta Lewin





O „czekaniu” na ukochanym „padole”

W ogrodzie wspomnień (12)

Kochani!

Oczekiwanie – temat aktualny zawsze. Oczekują wszyscy i wszystko. Tak naprawdę, oczekiwanie to takie radosne światło na każdych drogach życia, a więc i tych niełatwych. Zawsze jest łaską, choć często jak mocno trzeba się napracować, by TO OCZEKIWANE było nasze. Nie krok, a kilometry dzielą je od czekania, ale to dwie nasze towarzysзки. Za obie „Ducha nie gaśmy – Bogu dziękujemy”.

Aldonka wołała zdecydowanie bardziej oczekiwać. Nie lubiła czekać. Oczekiwać na upragnione święta, imieniny własne i najbliższych, było takie ekscytujące. Dziewczynka chciała, żeby te dobre dni były zawsze i już. Miały w sobie tyle radości. Choćby Boże Narodzenie – te opowieści o Bożej Dziecinie babci Mani, mateńki. Była przedszkolanką sióstr szarytek i dobrze wiedziała, że ten okres oczekiwania na Pana Jezusa to adwent. *Trzej króle jechali* – wiersz, z jej ulubionej książki *Niedzieli*, mówiła nawet przez sen. Ksiądz Prymas na Kamionku i te ich dziecięce jasełka odgrywane przed nim... Wigilia w domu, kolędy, dwanaście potraw, dodatkowy talerz na stole dla samotnego, zgłodniałego wędrowca... Wśród tych radości było też czekanie. To codzienne i to świąteczne – zawsze tak samo ogromne. Czekanie na tatę, który taki upragniony, taki wytęskniony, już piąty rok nie wracał z wojny.

Wyszedł z Warszawy w kolumnie jeńców, gdy ona w ten straszny wojenny, popowstaniowy czas była jeszcze pod sercem mateńki. Od tej chwili na spotkanie z nim czekały obie, razem z całą rodziną i nieznaną dziewczynce babcią Agatą, mamą Ojczyka, która pisała listy z dalekiej Addis – Abeby, do której rzuciła ją wojna. Nie było go w żadnym rejestrze poległych i umarłych (a takie już były). Szukał go nawet Scotland Yard na polecenie babci Agaty. Zaraz po zakończeniu wojny ktoś, kto z niej wrócił, mówił dorosłym, że widział go w jednym z niemieckich obozów. Ciągłe tęskniły i czekały, modliły się żarliwie o koniec, dobry ko-

Absolwenci Szkoły Handlowej w Warszawie w 1934 r. Pierwszy od lewej ojciec Aldony Kraus – Sergiusz Romaniuk



Sergiusz Romaniuk
ojciec Aldony Kraus

niec tego czekania. Mateńka opowiadała o tatce. Aldonka oglądała go na nielicznych ocalonych fotografiach. Balladę Adama Mickiewicza – „Powrót taty” – recytowała wszystkim. Sama byłaby najradośniejszą dziewczynką, gdyby nie to czekanie i smutek mateńki.

Czas biegł. Babcia Mania słysząc ciągle rozmowy i widząc jak jej córka i wnuczka czekają na Sergiusza, zasmuciona, często mówiła – *na tym też padole i jak to wszystko święta ziemia znosi* – tłumacząc małej dziewczynce, gdy ta pytała, że ten padół, to człowiek, jego życie na ziemi, na której żyje.

Aldonka miała już pięć lat i kochała ten padół całym sercem. Bo jak nie kochać życia, nawet jeśli pogryzł cię pies. Jakie tam łzy może ronić ziemia, po której stąpa mateńka, babunia, ciocia Hela, Henia. Jak nie kochać poniedziałku, wtorku, całego tygodnia, pór roku tak wspaniałych i tak różnych. Jeśli szaruga za oknem, to przecież w ciepłym domu tak przyjemnie, a po lodowatym mrozie i śnieżycy, białe pierzynki śniegu dla nart i sanny. Jak nie cieszyć się z Gocławka, Kamionka, kochanej wsi Smrocka, nawet z dalekiej Addis–Abeby w Afryce, z której nie wracała babcia Agata. Cuda świata znane z książek, cuda podwórkowe, kamionkowskie, niebo pełne gwiazd, które pokazywał wujek Rysio – brat mateńki – nazywając każdą po imieniu.

Nie ma padółu i już, bo przecież można powiedzieć: *Pa dole!* Dołku, dołeczku do widzenia. Dziewczynka dołków nie lubiła, tak niedawno skreśliła w jednym z nich nogę.

Pa dole! – ubawiło wszystkich i na trochę był spokój, choć babcia mówiła po swojemu, aż do dnia, w którym przyszedł ten straszny list z Monachium.

Plakała mateńka, babunia, Rysio, przechodząca ulicą sąsiadka, która przybiegła słysząc okropny szloch wydobywający się przez otwarte okna ich domu. Plakała Aldonka, cała z nimi rodzina i inni sąsiedzi tak, jak gdyby nigdy nie miano przestać, na wieść, że jej tatuś Sergiusz, ten wytęskniony, ten na którego tak czekały umarł „na serce” w Mathausen Gussen, po przejściu pięciu niemieckich obozów.

Dziewczynka nie chciała nigdy na nic i niktogo czekać i teraz już wiedziała, że babunia nie mówi nic, aby mówić, że ten niechciany padół leż – naprawdę istnieje.



Aldona Kraus

Trzeba mieć powołanie i naturę latarnika – czyli parę słów o pracy organisty

Zapowiadana rozmowa



fot. K. Rodak

W poprzednim numerze MP zapowiedzieliśmy rozmowę z naszym nowym organistą. Pan Grzegorz Sobolewski jest z nami od trzech miesięcy. Gra pięknie i śpiewa, ale my nawzajem chyba ciągle się do siebie przyzwyczajamy – proces ten zawsze przyspiesza szczerą i częstą rozmową, a więc porozmawiajmy...

Dlaczego został Pan organistą w naszej parafii?

Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat posada była do objęcia, a że mieszkam tu w Komorowie więc skwapliwie skorzystałem z okazji.

Kiedy zaczął Pan grać na organach?

Organistuję już od 25 lat i jest to moja szósta parafia.

Czy ma Pan jakieś konkretne oczekiwania? Co chciałby Pan osiągnąć w naszej parafii?

Trudne pytanie. Chciałbym służyć parafianom i na wyższą chwałę Panu Bogu. Chciałbym podnieść poziom oprawy muzycznej podczas liturgii poprzez doskonalenie własnego warsztatu, ale też zaproszenie innych: bardzo bym chciał, aby powstał chór liturgiczny.

Kiedyś miałem takie marzenie, by poprowadzić scholę chłopięcą, taką mini Kapelę Sykstyńską. Niestety nie jest łatwo pozyskać chętnych przed mutacją. Ci po mutacji mają inne zainteresowania i wstydzą się śpiewać. Właściwie nie ma w Polsce takiej tradycji, aby chłopcy śpiewali, skoro tutaj też nie śpiewają.

Czy muzyka to Pana hobby, czy zawód?

Powiedziałbym tak: hobby przerodziło się w zawód, co nie oznacza, że muzykowanie nadal nie sprawia mi przyjemności.

Jaki typ muzyki najbardziej się Panu podoba?

Klasyka, choć kiedyś zajmowałem się jazzem. Precyzyjniej powiedziałbym, klasyka barokowa.

Co sądzi Pan o muzyce nowoczesnej, na przykład heave metal?

Cóż, heave metal jest gatunkiem należącym do pop, czyli jest z innej bajki, lżejszej – choć heave.

A czy pieśni, które Pan gra podczas mszy, są tylko tradycyjne, czy korzysta Pan również ze swojego repertuaru?

Muszę się przyznać, że przeżyłem niekiedy moje kompozycje, acz jest to działalność „nielegalna”, ponieważ wszelka muzyka i śpiew wykonywane w kościele muszą mieć aprobatę biskupa miejsca (Kurialnej Komisji Muzycznej). Niestety praktyka śpiewania utworów spoza katalogu zatwierdzonego dekretem biskupa





jest przeciw prawodawstwu kościelnemu, a więc jest nielegalna.

Dlaczego akurat muzyka stała się Pana pasją?

Jest to przede wszystkim bakcył rodzinny. Było i jest kilku muzyków w mojej rodzinie. Niektórzy nawet są znani.

Jak się Pan czuje w swoim zawodzie?

Czuję się bardzo dobrze. Jednak zawód organisty wymaga wielu wyrzeczeń, często ze szkodą dla życia rodzinnego. Obciążeń związanych

z tym zawodem nie da się udźwignąć bez tzw. powołania i silnego związku z Kościołem. Przecież jest wielu wybitnych instrumentalistów tego instrumentu, którzy jednak nie chcą pracować w kościele. Po trosze trzeba mieć w tym zawodzie naturę latarnika ze znanej noweli H. Sienkiewicza. Nie każdy to wytrzymuje.

Dziękujemy za rozmowę. Kilka poruszonych kwestii, jak choćby tradycja muzyczna Pana rodziny, czy kwestia „muzycznego latarnika”, warte jest

rozwinienia... Za jakiś czas wprosimy się na kolejną pogawędkę.

Czekam niecierpliwie...

Rozmawiali

Anna Gębala,

Dagmara Brzeziecka

oraz Konrad Kędziora

uczniowie z kl. 1c gimnazjum



Moje dzieci – gawęda młodej matki

Zima tuż, tuż...

Pomagamy ptakom

*Za oknem białe, mrozu nawiało
a ptaki głodne, pokarmu mało
Zimno i głodno, my o tym wiemy
wnet do karmnika ziaren sypiemy.
Zadbajmy o nie. To tak niewiele.
Latem nam zagra ptasia kapela.*

*Marcin Przewoźniak „Czytam sam”,
seria „Wesoła szkoła 6-latka”*

Powoli kończy się jesień, a wszystkie zwierzątka kończą przygotowania do zimy. Niektóre z nich, takie jak na przykład bociany, kukułki, skowronki czy czajki opuściły nas już dawno. Tuż za nimi w długą drogę wybrały się jerzyki i grzywacze. Jako ostatnie odleciały jaskółki i żurawie. Tymczasem powoli przybywają do polskiego zimowiska między innymi sikory i jemiołuszki, którym bardzo trudno znaleźć pożywienie w miejscach, które zamieszkują: w tundrze i tajdze. Powoli pojawiają się kaczki i gile. Niektóre zwierzęta przesypiają okres zimy zapadając w tzw. hibernację. Następuje to po okresie intensywnego żerowania. Płazy i gady zasną, gdy temperatura spadnie poniżej zera, a obudzą się, gdy wzrośnie powyżej zera. Zasypiający na zimę borsuk, niedźwiedź, świstak, suseł i jeż mogą się obudzić, gdy temperatura jest zbyt niska i poszukać sobie cieplejszej kryjówki. Niektóre ryby wyka-

zują w zimie bardzo słabą aktywność, inne zagrzebują się w mule i zapadają w odrętwienie. W podobnym odrętwieniu przez ponad siedem miesięcy potrafi przebywać żółw błotny.

Zwierzęta aktywne w zimie zmieniają futra na dużo cieplejsze, a czasami, jak na przykład gronostaj, przybierają białą barwę ochronną. Zapobiegliwa wiewiórka nie przesypia zimy; zgromadziła nasiona i orzechy i doskonale zabezpieczyła swoją dziuplę. Jeśli zima będzie naprawdę dokuczliwa, ruda kitka zamknie wejście do swojego gniazda i zdrzemnie się.

Dni robią się coraz krótsze, na dworze zimno. Nie wolno nam zapominać o naszych przyjaciółach – zwierzątkach. Nie każda próba pomocy jest jednak dobra – dokarmianie łabędzi w zimie jedynie szkodzi – ptaki mogą zaprzestać naturalnych migracji, karma zepsuta albo taka, która ma zbyt dużo wody, bardzo szkodzi. W lesie można wystawić karmnik z sianem, żółędziami, marchewką, kasztanami dla dużych zwierzątek. Dobrym i prostym sposobem pomocy jest także budowa karmnika dla ptaków i stałe wieszanie słoniny dla ruchliwych sikorek. Karmnik powinien być umiejscowiony tak, żeby nasz miły kot nie mógł zrobić ptaszkom krzywdy. Karmnik trzeba sprzątać regularnie, aby jedzenie nie pleśniało. Należy także pamiętać, aby nie zawierało ono soli. W menu powinny się znaleźć ziarenka słoneczni-



ka, orzechów, dyni, podzielone na pół jabłka. Na pewno odwiedzi nas wtedy dzieciół, kwiczoł, kos. Bez dostępu do świeżej niezamarzniętej wody ptaki mogą nie przeżyć zimy. Dokarmianie trzeba rozpocząć dopiero, gdy spadnie śnieg, aby nie zniechęcać ptaków do odlotu. Gdy raz zaczniemy dokarmiać ptaki, należy to robić systematycznie. Ptaki przyzwyczajają się do „naszej stołówki” i jeśli zabrakłoby w niej jedzenia, nie będą go szukać w innych miejscach i zginą z głodu. Dla zablakanego jeża można pozostawić w kącie ogrodu kupkę liści, psom ocieplić budę. Otwarte piwniczne okienko może być jedyną szansą na przetrwanie dla zablakanego kota. Zwierzątkom, które zasnęły, życzymy dobrych snów, a tym, które do nas przybyły, życzymy miłego przyjęcia.

**Agata Tomaszewska-
-Antoniewicz**



Afrykańskie opowieści dla komorowskich dzieci

O strusiej córce

Pewnego razu w Afryce żył Mgharo i jego żona Chari. Mimo, że już od jakiegoś czasu byli małżeństwem, nie mieli dzieci, i bardzo ich to smuciło. On był pasterzem, a ona zajmowała się domem. Każdego dnia Mgharo wstawał o świcie i prowadził swoje bydło do dżungli w poszukiwaniu pastwisk. Niekiedy przebywał poza domem przez jakiś czas.

Bardzo często on i jego żona wybierali się na pobliską wysoką górę i składali bogu ofiarę z młodego baranka prosząc o dziecko (był to tradycyjny bóg afrykański).

Pewnego dnia Mgharo przypadkiem natrafił na jajo strusia. Było większe niż jakiekolwiek inne jajo, które widział wcześniej. Pomyślał, że dobrze będzie je zabrać do domu i pokazać Chari. – Zatrzymajmy je do czasu, aż się wykluje – zdecydowali wspólnie.

Trzymali swój nowy skarb w pobliżu ognia, żeby jajko miało ciepło i coś z niego szybciej pękło. Czekali godzinę, dwie, jeszcze dłużej... Aż nagle trach! – skorupka pękła!

O dziwo z jajka wcale nie wyszło słabe i niezdarne pisklę strusia, jak by się można było spodziewać, ale mała dziewczynka, której nadano imię Wuriri – po babci.

Wuriri wyrosła na piękną i posłuszną dziewczynkę.

Po pewnym czasie Chari zaszła w ciążę i urodziła córeczkę. Drugiej dziewczynce nadano imię Mwaki. Niestety Chari zaczęła gorzej traktować Wuriri.

– Ty strusie jajko! – krzyżała. – Zajmij się domem, zrób zakupy na rynku, potem... – rozkazywała dziewczynce.

Mwaki natomiast mogła bawić się do woli i długo spać. Nie miała żadnych obowiązków.

Wuriri była jednak łagodna i cierpliwa. Chociaż zdarzały się dni, kiedy nie dostawała nic do jedzenia albo bardzo niewiele.

Któregoś dnia Chari bardzo dotkliwie ją zabiła. Dziewczynka postanowiła wtedy uciec z domu. Mgharo był wtedy poza domem, a gdy wrócił w domu, zastał tylko żonę i Mwaki. Zapytał zaraz, gdzie jest Wuriri.

– Może jest u sąsiadów – podsunęła Mwaki.

– O tak późnej porze! – zdziwił się Mgharo.

Kiedy dziewczynka długo nie wracała, bardzo się zdenerwował i zaniepokoił. Zaczął jej szukać.

Nie uszedł daleko, kiedy znalazł znajome koraliki. Były to te same kolorowe drewniane koraliki, które niedawno podarował swojej córce! Koraliki bardzo podobały się Wuriri. Teraz rozerwała sznurek, na który były nawleczone i rozsypała jeden koralik za drugim na ścieżce, którą szła.

Mgharo podążał ścieżką, którą wcześniej poszła jego córka. Pomyślał, że może ona nie jest jeszcze daleko, może będzie go słyszeć. I zaczął śpiewać piosenkę:

„Wuriri, mwanapoe x2 kaniwesia (kanighoria) x2” (co znaczy: Wuriri, moja córko, poczekaj na mnie i powiedz mi...)

Wuriri nie była daleko, ponieważ szła wolno i było bardzo gorąco. Odpowiedziała swoją piosenką:

„Abba naleghaaa x2 mkako moni ureniwanga ighi ja nyagha ighi ja ng'onde' ela ngera ni mbango rako eroo chieni” (co znaczyło: Tato, nie mogę, twoja żona nazwała mnie strusim jajkiem. Jeśli to naszyjnik od ciebie, który rozrzucam tu na ścieżce, możesz pozbierać koraliki.)

Mgharo bardzo się zasmucił i przyspieszył kroku. Miał nadzieję dogonić córkę przed zmrokiem, ale na próżno – nie zdążył.

Po pewnym czasie Wuriri doszła do brzegu bardzo szerokiej i głębokiej rzeki. Nie mogła jej przejść, ponieważ prąd okazał się bardzo silny. Znalazła niedaleko jaskinię i tam ułożyła się na noc.

Mgharo również doszedł do rzeki. Zmartwił się, bo nie wiedział, którą drogę teraz wybrała jego córka.

– Jutro rano muszę sprawdzić, czy są tu jakieś inne ścieżki – pomyślał.

Znalazł miejsce, gdzie będzie mógł przespać noc. Było to całkiem niedaleko jaskini, w której spała Wuriri, ale żadne z nich nie wiedziało o obecności drugiego.

Noc była zimna i pełna rozmaitych dźwięków: ryczenia lwów, wycia hien, krzyków małp i ptasich śpiewów. Dziewczynka bardzo się bała. Wstała przed świtem, stanęła nad rzeką i zamieniła się w piękny kamień.

Niedługo potem nad brzegiem rzeki stanął jej ojciec. Rozejrzał się i zobaczył kamień. Wziął go do ręki.

– Gdyby tylko Wuriri nie zgubiła się, mógłbym wziąć ten piękny kamień dla niej jako prezent.

Nagle uświadomił sobie, że może sprawdzić głębokość rzeki wrzucając do niej kamień i licząc fale. Nabierał też przekonania, że Wuriri musiała przejść przez rzekę. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było przecież innej ścieżki!

Wziął kamień do ręki i rzucił go do wody. Kamień nie wpadł jednak do wody, tylko poleciał dalej i spadł na drugi brzeg. Wtedy na drugim brzegu pojawiła się Wuriri – z kamienia zamieniła się z powrotem w dziewczynkę. Mgharo prosił ją, żeby zechciała wrócić z nim z powrotem do domu. Ona odmówiła i opowiedziała mu o wszystkim, czego doświadczyła od swojej macochy.

Mgharo wrócił do domu sam. Ukaź swoją żonę i córkę za zło, które wyrządziły Wuriri.

Chari nie miała już więcej dzieci. Mwaki – jej jedyna córka – była bardzo chorowita, co martwiło jej rodziców.

Jaki dla nas płynie wniosek z tej historii? Powinniśmy być wdzięczni Bogu za to, co od niego otrzymujemy i dbać o to. Wuriri była darem od Boga dla rodziny Mgharo, ale Chari szybko o tym zapomniała, gdy miała już swoje dziecko.

Pamiętajmy o nauce, jaka płynie z przypowieści o talentach: Bóg daje więcej tym, którzy troszczą się o to, co otrzymali.



S. Karolina Ndinda



Okiem tak zwanego „lidera” o pracy w Młodzieżowym Kole Dziennikarskim

Ręce w górze

Nowy rok szkolny, nowe obowiązki – i tak dalej. Także nasze ukochane koło dziennikarskie zaczyna ponownie swą działalność, werbujemy nowych ludzi!

Jak co roku, uczniowie z naszej klasy po lekcji religii podbiegli do biurka (daleko nie było) i zapisali się już po raz trzeci jako młodzi dziennikarze. Jednocześnie wszyscy zastanawialiśmy się, kto nowy dołączy do naszego koła, a przede wszystkim, ile ci nowi będą wkładać pracy.

Parę dni później zostaliśmy powiadomieni, że koło... trochę się rozrosło. A ile osób się zapisało? Czterdzieści. Ze zdziwieniem patrzyliśmy na siostrę Joannę. Przypomniało mi się, jak to rok temu dwadzieścia nazwisk widniało na liście. A w *Magazynie*? Jedyne pięć. Oczywiście nie mogą zapomnieć, że co najmniej dziesięciu uczestników to licealiści. Tylko ile będzie tych tekstów, czy cztery strony przeznaczone dla naszego działu „Wolny głos młodzieży z Komorowa” wystarczą, czy być może będą nie do zdobycia? To retoryczne pytania...

Pierwsze organizacyjne spotkanie zostało zaplanowane na 10 września. Trzy dni później do naszej parafii miał przyjechać Prymas Polski, ks. kard. Józef Glemp. Byłaby to wspaniała okazja do zaprezentowania naszego koła oraz otrzymania specjalnych prasowych legitymacji z rąk tak Ważnej Osobistości. Legitymacje te upoważniają nas do wykonywania swoich obowiązków. Mamy więc prawo odwiedzać różne miejsca w celu napisania artykułu, bądź zrobienia różnych zdjęć. Możemy, na przykład, wyruszyć do Pałacu Prezydenta – oj, byłoby o czym pisać.

Spotkanie zbliżało się – czwartek punkt 19.00; miejsce – Dom Sióstr Służebniczek. Jednak pozostawało pytanie: „Jak my się tam zmieścimy?”. Sala, w której odbywają się dla nas spotkania, posiada oczywiście wielki stół i krzesła dookoła. Ale miejsc siedzących przy nim jest maksymalnie czternaście – co z resztą? Siostra poinformowała nas, że koledzy z liceum nie pojawią się; te spotkania są tylko dla naszej gimnazjalnej grupy. No

cóż... i tak trzeba będzie biec szybko, by zająć miejsce.

Dzień 10 września zbliżał się wielkimi krokami, aż w końcu z koleżanką ruszyliśmy na spotkanie. Ku naszemu zdziwieniu wszyscy stali przy bramie, jakby oczekiwali naszego przyjścia. Brakowało tylko czerwonego dywanu. Dość zagubione wypatrzyliśmy miejsce koło naszych znajomych i bacznie (ale z uśmiechem) obserwowaliśmy „tych nowych”. W końcu tłumnie przenieśliśmy się do naszej salki.

Miejsca przy stole, jak przewidywałam, nie starczyło, lecz pojawiły się nowe krzesła, tak więc wszyscy przybyli wygodnie zasiedli.

Przedstawialiśmy się: imię, nazwisko, klasa, zainteresowania, i jak to ładnie uściślił Igor, oczekiwania względem siebie – większej pracy oczywiście. Zapowiadało się więc dobrze. Padło mnóstwo propozycji – artykułów, przepisów kulinarnych, rysunków, udoskonalanie strony oraz – ku naszej rozpaczy – zdjęć. Czemu rozpaczy? Podczas całego spotkania walczyliśmy (płeć piękna) z naszym fotografem Maksem, który nieubłagalnie pstrykał i pstrykał. My oczywiście zasłaniałyśmy się tym, co było pod ręką – butelkami z wodą mineralną i innymi przedmio-

Mnóstwo pomysłów, talentów; jest naprawdę duża konkurencja



fot. M. Mrozowski

tami. W każdym razie w sali błyskało i fleszem i piorunami z naszych oczu.

Wielkim plusem tego spotkania był dobry humor – żartowaliśmy i w bardzo szybkim czasie rozluźniliśmy sytuację. W końcu śmiech to zdrowie!

Jakimś sposobem, nie wiem jakim, ale zostałam liderem Młodzieżowego Koła Dziennikarskiego. Oczywiście, bardzo się cieszę – kto by się nie cieszył? I jestem także zaszczyczona. Patrząc na to wszystko moimi oczami stwierdzam, że spotkanie było dość chaotyczne. Być może to sprawa dużej liczby osób. Jednak, jak to jest w dziennikarstwie – walczysz. By Twój artykuł znalazł się w Magazynie Parafialnym, musisz przebić się przez tłum. Wciąż działasz, gdzieś biegasz, masz ciągle rękę w górze. Inaczej prawdopodobnie Ciebie nie zauważą – mimo, że posiadasz talent. Może kogoś zraziłam – mam nadzieję, że nie. Ale tak to jest z dziennikarstwem – to jak żywiol. Oczywiście, my – ta stara grupa (nigdy nie myślałam, że w wieku piętnastu lat będę należeć do tych „starszych”) – służymy pomocą. Obojętnie jaką, ale oceniając słowa osób z klas pierwszych, mamy bardzo dobry narybek. Mnóstwo pomysłów, mnóstwo talentów. Ale, co wciąż mnie uderza – jeśli nie powalczysz, nie zajmiesz się niczym. Jest naprawdę duża konkurencja, więc jako informatyk biegasz do Michała z pytaniem „co zrobić”, jako osoba, która dyskutuje, szukasz Igora, bo nie wiesz „kiedy” odbędzie się spotkanie. Pierwszy rok to chyba najtrudniejszy – pamiętam swoją działalność. Ale warto, bo dzisiaj jestem tym tak zwanym liderem. Niczym się nie wyróżniam od innych, tyle samo talentu, może nawet mniej pomysłów. Ale jestem i się staram – to najważniejsze.

Mimo wszystko spotkanie przebiegło dość pomyślnie – czekamy na następne. A przed nami bardzo ważna uroczystość rozdania legitymacji!

Mam nadzieję, że między nami zbuduje się nierozwiązalna więź i chęć współpracy. Wierzę także, że to, co wszyscy sobie po kolei obiecywaliśmy, spełni się – coraz więcej dzieł. Jako wasz lider życzę powodzenia i wiele uśmiechu zachęcającego do pracy!

Karolina Danecka
Lider MKD



Gimnazjalista się nie nudzi

Zaraz to udowodnimy! Dzisiaj głos zabierze uczennica pierwszej klasy gimnazjum. Zaprosi nas w świat swoich zainteresowań, pasji i sukcesów. Może następnym razem Ty, Drogi Czytelniku, przedstawisz swoje osiągnięcia?

Wyraz „pasja” w języku polskim ma wiele znaczeń. Pierwsze – to przejęcie się czymś, a drugie – męka Chrystusa. Ja jednak mam pisać o swoim zamiłowaniu, zainteresowaniu.

Wszystko rozpoczęło się w czwartej klasie. Wtedy zaczęłam chodzić na zajęcia wokalne do Miejskiego Ośrodka Kultury w Pruszkowie. Później rozpoczęłam grę na keyboardzie. Na zajęcia uczęszczałam dwa razy w tygodniu. Oprócz tego zdałam egzamin i dostałam się do ogniska teatralnego przy Teatrze Ochoty. Już wtedy obudziłam w sobie pasję i postanowiłam, że w przyszłości zostanę piosenkarką lub aktorką. Bardzo ciężko ćwiczyłam i w końcu odniosłam sukces. Instruktorka od śpiewu razem z dyrektorem p. Mędrzakiem pozwolili mi zaśpiewać w trakcie przedstawienia pod koniec roku piosenkę: „Wszystko na pokaz”. Takie przedstawienia odbywają się co roku i prezentują to, czego nauczyliśmy się na zajęciach.

Kiedy nadszedł dzień występu, miałam tremę, chociaż co roku, od pierwszej klasy brałam udział w konkursach recytatorskich „Warszawska Syrenka”, w których przez sześć lat byłam laureatką. Denerwowałam się nie dlatego, że bałam się publiczności, lecz tego, czy wejdę w rytm, czy będzie mnie słychać na końcu sali i czy zdążę się przebrać, ponieważ zaraz po wierszu miałam występować solo. Na scenę weszłam, kiedy było ciemno. Po chwili światło reflektora padło na mnie i usłyszałam muzykę. Zaczęłam śpiewać. Dałam z siebie wszystko i myślę, że piosenka mi się udała, bo dostałam gromkie brawa,

Weronika: *Moja ciężka praca (oceny, teatr, muzyka) opłaciła się*



a po występie rodzice moich koleżanek z grupy zaczęli mi gratulować.

Rok później dostałam największą rolę w przedstawieniu „Damy i huzary”. Oprócz tego zdobyłam trzecie miejsce w „Przeglądzie kolęd i pastorałek”, w którym brałam udział po raz pierwszy. Nawet mój nauczyciel był zaskoczony, że tak szybko odnoszę sukces.

Najbardziej jednak zapamiętam tamten dzień... Przysłałam jak zwykle na zajęcia teatralne przed czasem i koleżanka powiedziała mi, że przyjechała ekipa „Teleranka” i szukają dziewczyny – prezenterki. Opowiedziałam im o sobie, swoich zainteresowaniach i po naradzie, która trwała kilka minut okazało się, że do prowadzenia programu zostałam wybrana ja! Byłam bardzo szczęśliwa i czułam się jak w siódmym niebie. Od tego wydarzenia zaczęła się moja przygoda z telewizją...

Pierwsze nagranie odbyło się już w październiku. Odcinek miał tematykę jesienną. Oprócz tego, że mówiłam, karmiłam wiewiórki i sikorki, które siadały mi na ręce. Po tygodniu zadzwonił telefon. Okazało się, że mam przeprowadzić wywiad z moją ulubioną piosenkarką Patrycją Markowską! W pierwszej chwili nie mogłam w to uwierzyć!!! To było coś niesamowitego. Od razu napisałam pytania. Następnego dnia pojechałam na nagranie do siedziby TVP. Cały skład łącznie z redaktorką i kamerzystą już na mnie czekał. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Patrycję na żywo i tak blisko, zareagowałam tak, jakbym w to nie wierzyła. I tak też zostało w programie. To była moja naturalna reakcja. Po wywiadzie poprosiłam o autograf i zaśpiewałam razem z nią fragment mojej ulubionej piosenki „Jeszcze raz”. Po tym występie Patrycja powiedziała mi trzy komplementy, co wywołało moje zdziwienie. Usłyszałam, że mam czysty głos, że dobrze mi patrzy z oczu i że czuje, że to kiedyś Ona poprosi mnie o „dućcik”. Potem przeprowadzałam jeszcze wywiady z Crazy Dunkers, Karoliną Wajdą i Conrado Moreno. Ta przygoda z Telerankiem, która trwa do dziś, jest najpiękniejszą w moim życiu...

Weronika Wierzbowska
ucz. kl. 1 a gimnazjum



Spotkanie z Księdzem Prymasem

Nasze Młodzieżowe Koło Dziennikarskie imienia bł. Edmunda Bojanowskiego z początkiem roku szkolnego intensywnie rozpoczęło swoją działalność. Obecnie zrzesza blisko czterdziestu młodych ludzi z gimnazjum i liceum. W związku z wizytacją kanoniczną przypadającą 13 września br. w naszej komorowskiej parafii, młodzi dziennikarze mieli zaszczyt zaprezentować swoją działalność przed Księdzem Prymasem Józefem Glempem. W wygłoszonym sprawozdaniu Ksiądz Prymas dowiedział się, że członkowie Koła Dziennikarskiego

- 14 czerwca bieżącego roku, w dziesiątą rocznicę beatyfikacji Edmunda Bojanowskiego, przyjęli imię tego Błogosławionego jako patrona,
- naśladując swojego patrona, błogosławionego Edmunda Bojanowskiego, za główny cel swojego zaangażowania stawiają sobie propagowanie wartości religijnych, moralnych i patriotycznych w lokalnej społeczności,
- systematycznie spotykają się na religijnych spotkaniach formacyjnych oraz warsztatach dziennikarskich,
- publicznie manifestują swoją przynależność do Kościoła uczestnicząc wspólnie w uroczystościach,
- spotykają się na wspólnej Eucharystii,
- co roku składają uroczyste przyrzeczenie, w którym zobowiązują się do służby na większą chwałę Bożą,
- publikują własne teksty, ilustracje, fotografie,
- przeprowadzają wywiady ze znanymi i znaczącymi osobami,
- prowadzą młodzieżowy klub dyskusyjny, organizują panele dyskusyjne,

Młodzi dziennikarze z Ks. Prymasem (fot. K. Rodak)

- współpracują z lokalnym czasopismem, *Magazynem Parafialnym*,
- biorą udział w akcjach charytatywnych,
- aktywnie włączają się w prowadzenie liturgii (czytanie lekcji oraz przygotowanie i czytanie modlitwy wiernych),
- prowadzą własną stronę internetową (www.komorow-pm.net), przez którą przybliżają młodzieży życie lokalnego Kościoła.

Szczególnym momentem całej uroczystości było wręczenie przez Księdza Prymasa legitymacji prasowych członkom Koła. Z pewnością każdy też zapamiętał słowa nauki Eminencji, który przypomniał zebranim o powołaniu i misji chrześcijańskiego dziennikarza we współczesnym świecie.

Zespół redakcyjny MKD

Wręczenie legitymacji prasowych



fot. M. Mrozowski



Dlaczego klasa matematyczna?

Pani dyrektor Małgorzata Głodowska miesiąc przed zakończeniem ubiegłego roku szkolnego, obiecała rodzicom ówczesnych szóstoklasistów, że w szkole powstanie klasa dla uczniów pierwszych klas gimnazjalnych o zainteresowaniach matematyczno-przyrodniczych. Do klasy matematycznej mógł dostać się uczeń, który uzyskał co najmniej ocenę bardzo dobrą z matematyki oraz przyrody.

Pani dyrektor ponadto zapowiedziała, że wychowawcą klasy będzie wspaniały matematyk, jednak nie zdradziła, kogo konkretnie miała na myśli. Pierwszego września oficjalnie dowiedzieliśmy się, że został nim nie kto inny, jak pan Dariusz Zaręba. Poprosiliśmy panią dyrektor M. Głodowską oraz wychowawcę klasy matematycznej o uzupełnienie tych informacji.

Dlaczego powstała specjalna klasa dla uczniów o zainteresowaniach matematycznych?

Pani Dyrektor: Szkoła starała się pogrupować uczniów na podstawie podań do szkoły, w których kandydaci zaznaczali swoje zainteresowania – np. humanistyczne, matematyczne lub sportowe. Skierowanie uczniów do konkretnej klasy ma pomóc rozwijać ich zainteresowania w szerszym niż podstawa programowa zakresie. I tak uczniowie

lubiący sport mają dodatkowe zajęcia sportowe, osoby lubiące matematykę dostają dodatkowe zadania itd.

Czy na podział klas miała wpływ nowa podstawa programowa?

Pani Dyrektor: Ustawa o powszechnym obowiązku szkolnym nie przewiduje tworzenia klas profilowanych w szkołach gimnazjalnych. Każda klasa przerabia cały materiał przewidziany w podstawie programowej. Jeśli rodzice zgłaszają zainteresowania uczniów, to wychodząc naprzeciw można stworzyć warunki, w których grupa uczniów o podobnych zainteresowaniach będzie mogła je rozwijać.

Co szczególnego jest w klasie matematycznej? Czy uczą się w niej tylko najlepsi uczniowie?

Pan Dariusz Zaręba: Czy uczą się najlepsi – tego nie wiem. Co ma

szczególnego – to, że jest w niej dużo trudnej matematyki.

Kto był pomysłodawcą założenia klasy matematycznej?

Pan D. Zaręba: Klasę matematyczną wymyśliłem z p. Janem Frączkiem cztery lata temu i w tym roku nasz pomysł został zrealizowany, lecz niestety p. J. Frączek nie uczy w tej klasie.

Jak ocenia Pan uczniów po pierwszych dwóch tygodniach nauki?

Pan D. Zaręba: W ogóle nie oceniam uczniów po dwóch tygodniach nauki.

Czy realizuje Pan tylko zadania z programu nauczania, czy również stosuje pan ponadprogramowe zadania o większym stopniu trudności?

Pan D. Zaręba: Powiedzmy tak: stosuję głównie ponadprogramowe zadania o większym stopniu trudności i czasami program gimnazjum.

Czy inne klasy, np. klasa humanistyczna, ma możliwość przyswojenia takiej samej ilości materiału jak klasa matematyczna?

Pani dyrektor M. Głodowska





Pan D. Zaręba: Fizycznie i psychologicznie tak, ale z klasą matematyczną wykonuję więcej materiału ponadprogramowego.

Czy ma Pan jakieś szczególne plany co do swojej klasy?

Pan D. Zaręba: Oczywiście, niektórzy przeżyją (śmiej), a niektórzy będą bardzo dobrzy z matematyki. Mam nadzieję, że będzie taka osoba, bądź kilka, które zdobędą jakieś osiągnięcia w konkursach.

Czy utworzenie klasy matematycznej miało wpływ na Pański powrót do gimnazjum w Komorowie?

Pan D. Zaręba: Miało wpływ. To był jeden z czynników, który zdecydował o moim powrocie.

Dlaczego odszedł Pan z komorowskiego gimnazjum?

Pan D. Zaręba: Chciałem uczyć w innej szkole, w której była matura międzynarodowa, w której uczyłem po angielsku i było to dla mnie ciekawe doświadczenie.

A jak podoba się klasa matematyczna uczniowi?

Konrad K.: Chcę uczyć się w tej klasie, gdyż interesuję się naukami takimi jak: matematyka, fizyka jądrowa, chemia. Bardzo ucieszyłem się na wieść o powstaniu takiej klasy. W klasie realizujemy z nauczycielem nie tylko materiał programowy, lecz zadania rozszerzające, o większym stopniu trudności. Są to zadania dla licealistów, a nawet dla studentów. Uważam, że wykonywanie trudniejszych zadań jest bardzo dobrym pomysłem. Bardzo dobrze czuję się w tej klasie. Pan Dariusz Zaręba prowadzi bardzo ciekawe lekcje i mam nadzieję, że nadal takie będą.

Pozostaje nam więc tylko życzyć, by klasa matematyczna jak najlepiej spełniła swoje zadania.

Dagmara Brzeziecka,

Anna Gębala

i Konrad Kędziora

gimnazjaliści z klasy matematycznej



To dobry czas, by zrobić coś dla innych.

Ecco walkathon

Dnia 12 września, około godziny dziewiętej na Podzamczu w Warszawie zebrali się ludzie dobrej woli, aby wziąć udział w spacerze, który wspomaga trzy organizacje. Za każdy przebyty kilometr firma ECCO przekazuje cztery złote na rzecz wybranej przez nas jednej z trzech fundacji.

Pierwszą z nich jest fundacja Anny Dymnej „Mimo wszystko”, gdzie wolontariusze wybudowali „Dolinę Słońca”. Powstała ona, aby utrzymać Warsztaty Terapii Artystycznej dla osób niepełnosprawnych intelektualnie w podkrakowskich Radwanowicach. Z roku na rok przybywa coraz więcej osób, które chciałyby w nich uczestniczyć. Dla wielu to jedyna szansa, aby wydostać się z zakłętego kręgu czterech ścian, spotkać z innymi ludźmi, czegoś nowego się nauczyć i rozwinąć swoje pasje. Kolejną fundacją jest organizacja WWF, która aktywnie działa w celu powstrzymania zmian klimatu naszej planety. Tym razem akcja polegała na zbieraniu funduszy dla niedźwiedzi polarnych zamieszkujących Arktykę.

Trzecią i ostatnią biorącą udział w akcji jest organizacja „Street Kids” (Dzieci Ulicy). Przekazane pieniądze z tegorocznego projektu umożliwią większej liczbie młodych osób z ubogich środowisk udział w programach edukacji ekonomicznej oraz umożliwią ufundowanie dodatkowych stypendiów.

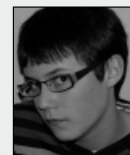
Oprócz spacerowania było także wiele różnych atrakcji, które zapew-

nili nam organizatorzy imprezy. Prowadzącymi byli Dorota Wellman oraz Rafał Bryndał. Od godziny dziewiętej do zakończenia czynne były stoiska, gdzie można było napić się gorącej czekolady czy kawy. Były również punkty promujące dane organizacje.

Według nas jest to dobry czas, by zrobić coś dobrego dla innego człowieka oraz zwierząt. Jest to także doskonały czas, by spędzić go z rodziną na łonie natury. Sądzymy, że im więcej imprez tego typu będzie organizowanych, tym więcej osób będzie w nich brało udział. Firma ECCO chce pokazać nam, że aktywny wypoczynek jest nie tylko elementem zdrowego stylu życia, ale może również mieć pozytywny wpływ na poprawę warunków życia innych.

Kończąc naszą relację pragniemy przytoczyć fragment wypowiedzi Anny Dymnej, który chyba każdemu uczestnikowi głęboko zapadł w serce: „Czasem wystarczy prosty gest, zwykła rozmowa, uśmiech, by dać komuś nadzieję, siłę, odwagę i odmienić jego życie. Bądź z nami! Razem możemy zrobić wiele niezwykłych rzeczy. Możemy zmieniać świat na lepszy i piękniejszy!”

**Patrycja Kasprzycka,
Aleksandra Pietrasik
oraz Zbyszek Szymańczyk**
ucz. kl. 3 gimnazjum



fot. Z. Szymańczyk

Patriotyczne refleksje gimnazjalistki Łucji

Bóg, Honor, Ojczyzna

Karolina wstała wcześniej, ubrała się i tata zawiózł ją do szkoły. Gdy wbiegła do szatni, Kasia – jej najlepsza przyjaciółka powiedziała:

– Co robiłaś wczoraj?

– Wczoraj... no więc: na początku byłam w kinie, potem pojechałam do manikiurzystki, później mój tata zrobił firmową imprezę, chociaż mało osób przyszło...

– Ale miałaś fajnie!

Nagle ich rozmowę przerwał dzwonek na lekcję.

– Na dzisiejszej lekcji zajmiemy się ważnym tematem. Zapiszcie...

Karolina jednak rozmawiała z Kasią, pokazując jej swoje paznokcie.

– Karolino nie rozmawiaj!

Lecz ona wzruszyła tylko ramionami i dalej dyskutowała z Kasią.

– Karolino, proszę żebyś wstała do odpowiedzi.

Wstała ze znudzoną miną i pomyślała:

– No tak, zapyta mnie tylko dlatego, bo chciałam coś powiedzieć przyjaciółce.

– Karolino odpowiedz: jakie obchodziliśmy wczoraj święto?

Karolinę zamurowało. Jakie święto? Kiedy? Może coś jej się pomyliło?

Stała tak i bezradnie patrzyła na panią.

– No cóż Karolino, dostajesz jedynkę!

Po wyjściu na przerwę Karolina powiedziała:

– I co z tego, że dostałam jedynkę! Co mnie to obchodzi, jakie wczoraj było święto!?

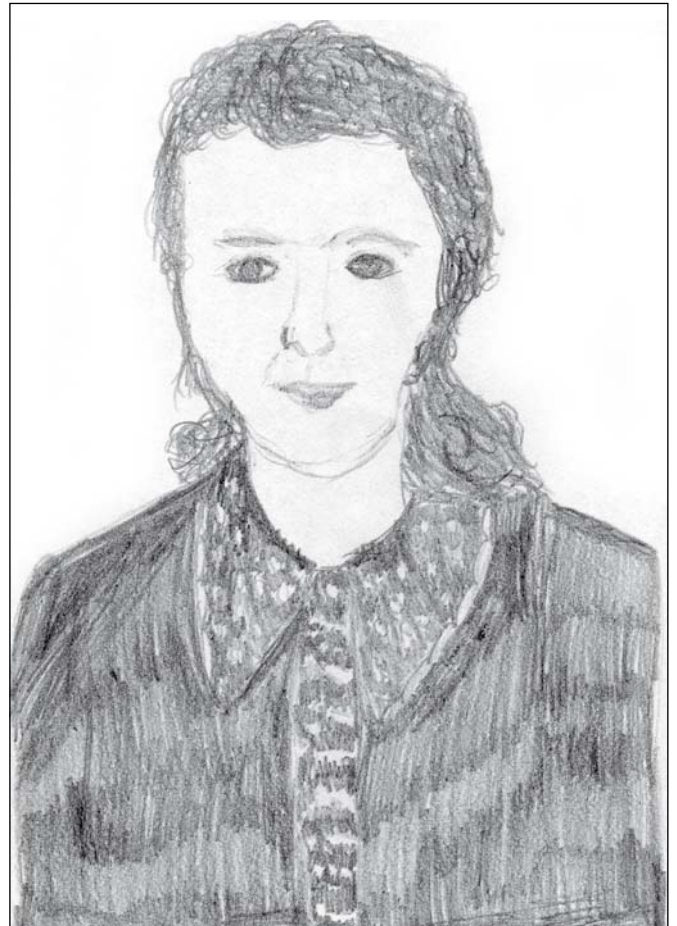
A Kasia pomyślała: jak to? I to jest moja przyjaciółka? Nie interesuje jej to, że wczoraj obchodziliśmy święto Odzyskania Niepodległości po latach niewoli?

To może się przydarzyć każdemu z nas. Wiele razy zdarza się nam powiedzieć o patriotyzmie:

– Co mnie obchodzi, nie chcę, nie lubię...

Ale są osoby, dla których jest to ważne, dla których liczy się Bóg, Honor, Ojczyzna. Wielkim autorytetem dla młodzieży jest uczestniczka II wojny światowej – Inka (Danuta Siedzikówna) urodzona 3 września 1928 roku w Głuszczewinie, zamordowana przez Urząd Bezpieczeństwa 28 sierpnia 1946 roku w Gdańsku, sanitariuszka 4 Szwadronu odtworzonej na Białostocczyźnie 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, a od 1946 roku 1-go Szwadronu Brygady działającej na terenie Pomorza. Inka, bita i poniżana zdecydowała się zginąć dla Boga, Honoru i Ojczyzny mając zaledwie 18 lat.

*Łucja Dybowska
ucz. kl. I gimnazjum*



rys. Ł. Dybowska

*Jak trudno umierać, gdy naście masz lat
Jak trudno zaśpiewać piosenkę,
Gdy z pąka dopiero rozwijasz się w kwiat
Ze śmiercią wędrując pod rękę*

*Jak trudno umierać, gdy naście masz lat
Dopiero się zrywasz do życia
A tam za murami zieleni się las
A zegar tak szybko odmierza ci czas
I tyle jest chwil do przeżycia*

*Jak trudno jest żyć, gdy naście masz lat
A w sercu nie goją się blizny
Gdy groby kolegów, poezja i stal
To szanse ostatnie ojczyzny*

*Jak trudno jest żyć, gdy naście masz lat
I tyle do życia masz pytań
A ktoś zasiekami podzielił twój świat
I drogi do domu nie widać zza krat
A serce nabrzmiało goryczą*

*Ze śmiercią pod rękę ostatni już raz
Przemierzam więzienny korytarz
Bądź zdrowa ojczyzno ja muszę już spać
By wreszcie się zbudzić do życia.*

(A. Kołakowski)